Nr. 6. Warszawa, dnia 27 Stycznia (8 Lutego) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

LEW UGŁASKANY.

Kto pamięta mowę Salisbury'ego w sierpniu w Izbie wyższej i wielki *speech* bankietowy u lorda-majora Londynu d. 9 listopada r. z. — temu pierwszy minister królowej Wiktoryi po nowem swojem wystąpieniu krasomówczem w d. 31 stycznia r. b. przedstawi się w postaci króla zwierząt, który w roku przeszłym rykiem swoim wstrząsał puszczę, a w bieżącym — już tylko zabawia ciekawą publiczność. Rzadko głos bijący z widowni świata sprawił tak przygnębiające wrażenie. To, co nas z ust margrabiego teraz dochodzi, jest jakby zniewagą wyrządzoną słowu człowieczemu, samemu darowi mowy i korzystającego zeń rozumu. Salisbury brutalnie zrywa tę złotą nić ciągłości w myślach i uczuciach, około której osnuwa się odpowiedzialność za słowa i czyny, wraz z nią stanowiąca najgłębszy, konstytucyjny pierwiastek człowieczeństwa. Widzimy przed sobą łańcuch świadomości, związywany szpagatem sofistyki; nie widzimy człowieka.

Jaka siła porwała lwa z puszczy i osadziła w klatce? Siła rzeczy — odpowiedzą — konieczność, interes, żelazna czy kamienna rzeczywistość. Zapewne, będą to zwykłe w podobnych wypadkach używane wyrazy, ale tylko wyrazy. Kto potrzebuje myśli i logiki, aby mieć odpowiedź, zdolną wątpliwość jego uśmierzyć — ten się czczymi wyrazami, monetą obiegową potocznego dziennikarstwa, nie zadowoli i pytania sobie i innym stawiać nie przestanie. Więc co skłonić mogło pierwszego ministra angielskiego do przywdziania nowej zupełnie skóry, uderzenia w inny, niż dotychczas, ton, i do całej tej zmiany frontu wewnątrz i zewnątrz, tak boleśnie dotykającej, przez samo już poczucie, że się do jednego z nim rodzaju należy? Głębsze zastanowienie się innej odpowiedzi nie da, jeno — brak zasad, a nietylko zasad humanitarnych, ale i politycznych. Tamten brak ministrowi, człowiekowi od wytwarzania faktów spełnionych, ze stanowiska polityki pozytywnej wybaczać wolno; ten oskarża go przed nim samym — o nieudolność polityczną.

Oportunizm, nakazujący nietylko korzystać z okoliczności, ale i przystosowywać się do nich, nie zostawiający człowiekowi nic własnego, coby choć zrozumieniem trwałych interesów być mogło, — ta zaraza inteligencyi europejskiej dotknęła i pierwszego ministra Anglii. Gdy wszyscy dzisiaj poddają się pod jarzmo zewnętrznych warunków, wszyscy ewangelię uległości takiej głoszą, i Salisbury też nie chciał być lepszym od innych. Jest przecież pomiędzy nim a innymi różnica. Tol filisterstwo, rozsiadło na tronie stałości przekonań i ideałów, które oportunizmem nazywają, bywa zazwyczaj w słowach swoich skromne, bo właśnie propaganda szarej pospolitości stanowi rdzenną jego dążność i jest jednym ze sprzyjających warunków rozwoju jego treści. Zasadnicza siła oportunizmu, polegająca na wymykaniu się rozumowi i idei, na chwytaniu wszystkiego, co się da, ustawianiu małych bałwanków na ołtarzach, uspakajaniu wielkich trosk lichemi zdobyczami i zasłanianiu chmurnego jutra dekoracyami z dzisiejszej pogody — narzuca mu małość zarówno w czynach, jak w słowach. Jedyna to może jego dobra strona, że nie huczy wielkiemi słowami.

Ale margrabia huknął. W sierpniu zagroził Turcyi upadkiem, a od tego strasźliwego losu ocalić ją miała tylko inna katastrofa: zmiana osoby sułtańskiej. Od gromu londyńskiego zatrzęsła się ziemia pod Ildiz-kioskiem i Europa czekała, co będzie. W październiku krasomówstwo margrabiego i natarczywość sir Filipa Currie złożyły się na to, że sułtan jął się czołgać u nóg pierwszego ministra — napisał do niego list błagalny, pierwszy zaś minister na bankiecie u lorda-majora samego listu odczytać wprawdzie nie śmiał, ale go komentarzem lekceważącym opatrzył. Jeszcze wtedy zdawało się, każdemu człowiekowi ze zdrowym rozsądkiem zdawać się musiało, że Anglia przoduje w działaniu dyplomatycznem przeciwko Turcyi, że się przodownictwa i działania samego nie wyrzeknie, że zamiast mglistych obietnic *mala fide* ustępstwa ściśle, uczciwie określone dla Armeńczyków wyjedna, a wyjednanych nie będzie szukała po Azyi Mniejszej, na gruncie armeńskim, jak wiatru w polu — ale je pod okiem swojem wprowadzać nakaże i nie pozwoli sułtanowi ani na fałszywą miarę, ani na stęchłe ziarno.

Wszystko to miało się stać w zgodzie z Europą, z innemi mocarstwami działającemi, — tem lepiej. Koncert europejski nazwał Salisbury najcenniejszą zdobyczą zabiegów nad Bosforem. I w tem można mu było przyznać słuszność: koncert mógł być gotowem źródłem harmonijnej melodyi. Nie minął listopad, a skala woli angielskiej—tego, czego Albion wrzekomo chciał i co sobie za cel polityki wytykał, nagle zmalała. W grudniu demonstracya flot pokazała całą łataninę owego koncertu i lichotę postanowień angielskich. W końcu roku już sam Salisbury nie wierzył ani w przyrzeczenia, a w możliwość wyduszenia z Abdul Hamidu rzeczywistych już zobowiązań, ani w owo zgodne współdziałanie mocarstw, ani wreszcie w swoję własną dobrą wolę zrobienia czegokolwiek dla Armeńczyków, wziętych w tak usilną, tak słowami szastającą opiekę. Dyplomacya angielska nad Bosforem zepchnię-

ta była na podrzędne stanowisko, wpływ jej był tylko relikwią, a Jowiszowe gromy sprawić już mogły takie tylko wrażenie, jak w operetce, parodyującej świat klasyczny.

Teraz lew osadzony w klatce zgadza się już ze swym losem. Może jeszcze coś być, ale jeśli nic nie będzie — nie myśli sobie głowy o kraty żelazne rozbijać. Nieczyste sumienie siły, która się już czuje niemocą, popchnęło Salisburego do sofistycznego wykrętu, jakoby opinia publiczna Anglii dopiero narzucała rządowi obowiązek przyjścia Armeńczykom z pomocą, kiedy w rzeczywistości ten rząd, to jest on sam, Salisbury, uroczyście przed Anglią i przed Europą całą, i nie raz jeden, lecz stale, od objęcia rządów w końcu czerwca r. z., obowiązek ten podejmował na siebie dobrowolnie, nie jako ciężar, lecz jako czyn, sprawiający rozkosz jego energii. Dalszy sofizmat, osłaniający bezsilność, utożsamia dopomożenie Armeńczykom z wypowiedzeniem wojny sułtanowi. Zupełną już abdykacyą z dawnych zamysłów jest ostrzeżenie, aby nikt nie przypuszczał, że Anglia zmusi sułtana do wykonania reform nie w taki sposób, jak on sam tego zapragnie. Trzeba mu tylko zostawić czas na reformy—a reformy przyjdą. Aby coś powiedzieć, coby zatarło w pamięci owej osobiste wygrażanie sułtanowi, Salisbury wyłamuje drzwi otwarte i zapewnia, że nie Abdul Hamid nakazywał rzezie w Armenii. Azyę Mniejszą mogłaby Anglia zająć tylko wtedy, gdyby ją do tego upoważniły mocarstwa. Oddzielenie się od innych mocarstw mogłoby tylko być wrogiem oderwaniem się od nich—twierdzi margrabia.

Kto tu nie widzi przyznania, że Anglia jest odosobnioną i z konieczności iść musi za innymi; że swoje dawne zamiary zawiesiła na kołku, a wzięła nowe, wspólne z innemi mocarstwami, wyprodukowane w owej zgodności działań, bez której, według margrabiego, zagroziłoby światu większe niebezpieczeństwo, niż nierozwiązana kwestya armeńska? Zeszła tedy dyplomacya angielska nad Bosforem na podrzędne stanowisko i dobrze jej z tem, bo mądrość życia, zamknięta w pojęciu określanem ową nazwą oportunizmu, nakazuje przystosowywać się do okoliczności, a te okoliczności właśnie stawiają Anglię — ciągle według margrabiego — wobec rozdwójni: wojna, albo spuszczenie się we wszystkiem na dobrą wolę sułtana — wybór nietrudny: wojna byłaby niedorzecznością. I tak schodzi się coraz niżej po drabinie tych niemożliwości i tych konieczności, i tych wyższych interesów na padół bezsilności, osłanianej politycznym rozsądkiem! Rozbija się głowę wskutek nierozważnych porywów i mówi się potem, że się na drodze swojej wcale twardego muru nie spotkało. Milczenie byłoby najlepszym dla godności pancerzem, ale zbliżające się zagajenie parlamentu — nakazało zabębnić nową pobudkę. Lwa ryczącego już niema; jest potulny, ujeżdżony, do woza wspólnego — bodaj nawet na przyprzążkę — założony koń. Salisbury niczego nie chciał, nic nie zapowiadał, do niczego nie dążył, coby nie było wypadkową wszystkich sił współdziałających. To usiłował wmówić w pamięć i w zdrowy rozsądek ludzki swą oracyą w Metropolitan Hotel ostatniego dnia stycznia. Taką ma dziś Anglia politykę.

UGODA AUSTRO-WĘGIERSKA.

Wiedeń, 30 stycznia.

Odnowienie ugody austro-węgierskiej jest jedną z najważniejszych kwestyj doby bieżącej. Odnawiana co lat dziesięć, potrąca o najżywotniejsze interesy obu połów monarchii; słusznie więc stanowi ona przedmiot nadzwyczaj ożywionych rozpraw. Jak wiadomo, według zasadniczej ustawy państwowej, Austrya i Węgry stanowią dwie zupełnie niezależne części monarchii, z samodzielnym rządem, prawodawstwem i—co w danym wypadku najważniejsze — z samodzielnymi finansami. Wspólne są: dynastya, polityka zewnętrzna i armia.

Armia i polityka zewnętrzna wymagają wspólnych wydatków. Pokrycie ich jest osią, około której obracają się wszystkie następne sprawy. Od r. 1867 męczą się politycy jednej i drugiej strony nad wynalezieniem sposobu, pozwalającego sprawiedliwie określać stosunek, w jakim oba państwa powinny opłacać wydatki wspólne. Dotychczas uchodzi Austrya za kraj bogatszy, aniżeli Węgry, stosownie też do tego za podstawę dotychczasowego udziału w wydatkach służyła reguła, iż po odciągnieniu dochodów z ceł, stanowiących 2% wydatków wspólnych, pozostałe kwoty pokrywano w tym stosunku, iż Austrya płaciła 70%, Węgry 30%. Wspólne cła pociągają za sobą wspólną politykę handlowo-celną. W państwie ze skoncentrowanymi finansami polityka handlowo-celna doprowadza do walki grupy produkcyjne. W stosunku austro-węgierskim, gdzie finanse obu połów są samodzielne, korzyści jednego państwa są stratą dla drugiego, przeciwieństwo interesów jest już nietylko szkodą grup produkcyjnych, lecz i całości państwowej. Sprzeczność ta uwydatniła się jasno w końcu siódmego dziesięciolecia wieku, gdy Węgry, stojąc nad przepaścią bankructwa, zmuszone były do podwyższenia ceł. Wobec jednolitości polityki celnej, na zwyżkę tę przystała i Austrya, ponieważ zaś dochody celne szły do kasy wspólnej, musiała więc ona pośrednio płacić długi węgierskie. Takimże przykładem służy wojna celna z Serbią i Rumunią, gdzie Węgry, jako kraj rolniczy, zmusiły Austryę do zakupu produktów po cenie podwyższonej itd.

Tworząc jedno terytoryum celne, Austrya i Węgry nie posiadają ceł za towary, przesyłane z jednej połowy monarchii do drugiej. Warunek ten jest także źródłem obopólnego niezadowolenia. Przyczyniają się tutaj polityka handlowa Węgier, jako też i t. zw. kwestya podatków konsumcyjnych i produkcyjnych. W wypadku ostatnim chodzi o podatek od piwa, cukru, olejów mineralnych i nafty. Wytwórcą trzech pierwszych jest Austrya; nafty zaś — przeważnie Węgry. Opodatkowano te przedmioty. Pobory od wszystkich powyższych zaliczono do „produkcyjnych,“ tylko od spirytusu jest podatek konsumcyjny.

Ze stosunku tego niezadowolone są Węgry. Żądają one, izby podatek był kon-

---

6.

Urywek z dziennika.

Otaczający jedni przed drugimi zaczęli podnosić wysokie dla publiczności znaczenie popularyzowania wiedzy, tem donioślejsze, że z takich ust, z takiego zasobu...

Dygnitarz słuchał obojętnie i nagle zamyślony, śród rozbrzmiewających hymnów czci i uwielbienia zdawał się ważyć coś w swej głowie.

Patrzyłem na tę szanowną osobę i stanęły mi w pamięci wszystkie dziennikarskie artykuły, sprawozdania i ilustracye z ostatniej wyprawy naukowej przyrodnika. „Nasz światły,“ „nasz zasłużony,“ „nasz niestrudzony“ brzmiało tam na każdej szpalcie. „Wielkie zdobycze nauki,“ „krok naprzód w pochodzie ku światłu“ brzęczało mi w uszach i widziałem wyraźnie, jak ta postać i to oblicze oblekało się czemś niezwykłem, czemś takiem, przed czem chciałoby się głowę schylić.

Naraz zauważyłem, że na piersi jego porusza się wstążeczka ponsowa. Może to skutkiem przyśpieszonego oddechu — pomyślałem zrazu; lecz wkrótce spostrzegłem, że zaczyna drgać coraz szybciej, wreszcie tak gwałtownie, iż należało oczekiwać, że za chwilę znak zerwie się z pętliczki i z brzękiem spadnie na podłogę. Patrzałem zdumiony, szukając przyczyny niezwykłego widoku i tu zacząłem spostrzegać, jak pod wstążeczką powoli, niewyraźnie występuje czarna plama. Zrazu była malutka, jak cień liścia, wzrastać jednak zaczęła nader szybko; objęła wyłogi fraka, pokryła, biały gors koszuli, ramiona, rozeszła się nawet po za nie. Wkrótce pod twarzą poważną, pełną pewności siebie była już tylko wielka, czarna, głęboka, bezdenna czeluść, bez formy, bez obrzeżenia wyraźnego, rozpływająca się kędyś bez granic, bez oporu. Co to być mogło? Gdzie podział się ten człowiek? Dokąd sięga ta przepaść taka czarna i pusta? Gdy usilniej jednak wzrok natężyłem, dostrzegłem, że niezupełnie była pustą: z najdalszych głębin zrazu prawie niewidzialnie, potem coraz wyraźniejsze dobywać się zaczęły jakieś opary mętne, jak dymki w topazowych kryształach. Ponsowa wstążeczka poruszała się konwulsyjnie pod ich powiewami. Nic podobnego dotąd nie widziałem. Stałem strwożony, przykuty wzrokiem do tego zjawiska i zauważyłem, że smugi mgieł, wychodząc na powierzchnię, wydają chrzęst ostry, przykry, ale zarazem tak subtelny, że jedynie mój słuch nadnaturalnie podnieceny mógł je pochwycić.

„To ja, to ja, to ja! — zasyczał mętny wyziew i popełzł w górę po ciele—wielkie uczone *ja*, krajowe, europejskie, wszechświatowe! Wysoko ponad głowy wasze polecę, ponad płytkie wasze głowy; jeśli zechcę, ulepię z was opinię publiczną i dąć będę na tym glinianym koniku, co sam zechcę i dopokiki zechcę...“

„To ja, to ja! — przewinął się przezeń powiew drugi. — Twój mózg pracował, a jam zyski liczył, twoja ręka po laury sięgała — a jam zysk liczył, twoje sumienie wybierało — a jam zysk liczył, twoje serce zabiło — a jam mu takt wydzwaniał. Duszą twej duszy byłem i jestem.“

Nagle wypadł kłąb małych dymków, które wnet rozproszyły się na wszystkie strony.

„Po nas, po małych, nikłych, nędznych, piąłeś się do góry. Twoja nauka? Nędza by ją zżarła i zgniłbyś bez śladu; ale my cię wyniosłyśmy na grzbietach — my drobne, my — poziome, my — praktyczne. Czy wiedza twoją wielkością, czy my?..“

Tu wysunął się kłąb inny:

„A pamiętasz owe mądre starcie między

sumcyjnym od produktów owych, spożywanych przeważnie w Węgrzech a wytwarzanych w Austryj; aby więc przypadał w udziale nie kasie austryackiej, lecz węgierskiej. Zmiana ta pociąga za sobą przeniesienie rocznie około 5 milionów z kasy austryackiej do węgierskiej.

Przemysłowcy austryaccy skarżą się ze swej strony na nierównomierne traktowanie produktów austryackich i węgierskich. Faktem jest, iż w ostatnich latach Węgry zwróciły całą swoją uwagę na rozwój przemysłu miejscowego. Dla umożliwienia współzawodnictwa otrzymują przemysłowcy węgierscy pożyczki bezprocentowe; koleje obowiązano są przewozić maszyny po cenie kosztów; cła przewozowe są przeważnie tak unormowane, iż służą na korzyść przemysłu lokalnego; wobec dostaw skarbowych, rząd węgierski uwzględnia przedewszystkiem przemysł miejscowy. Wszystko to jest szkodliwem dla przemysłu austryackiego, a wobec tego zrozumiałem jest, iż ostatnio dają się słyszeć głosy, żądające zniesienia ugody handlowej i zastosowania do Węgier środków nacisku.

Ostatnim punktem, który podlegać będzie dyskusyi, jest sprawa bankowa. Stoi ona w związku z odnowieniem przywileju banku państwowego i posiada w danym wypadku znaczenie drugorzędne.

Wszystkie powyżej zaznaczone kwestye, wchodzące w zakres żywotnych interesów państwowych, muszą wkrótce być uregulowane. Rokowania przedwstępne już są rozpoczęte. Obowiązkiem rządów jest wypracowanie odpowiednich projektów; najwyższa Izba rachunkowa dostarcza materyału statystycznego, obejmującego wszystkie działy produkcyi; delegaci zaś parlamentow obu stron decydują o treści umowy. Przedstawiciele interesów austryackich oraz uregulowania spraw handlowych głównie żądają zmniejszenia płaconej części. Węgrzy zaś chcieliby płacić możliwie najmniej.

D. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 1 b. m. książę Ferdynad Koburski wrócił do Sofii, a w trzy dni później wydał do narodu bulgarskiego manifest, zapowiadający mu na d. 14 b. m. przejście pierworodnego syna, Borysa, na prawosławie. Do tego czasu zgromadzenie narodowe będzie mogło znieść poprawkę do art. 38 konstytucyi, umyślnie na żądanie księcia Ferdynanda, w interesie tegoż samego syna uchwaloną. Manifest, odbijający w sobie niepowodzenie podróży do Rzymu (stwierdzone w podanej tu już depeszy Agencyi telegraficznej rosyjskiej), zarzuca Leonowi XIII niezrozumienie potrzeb Bulgaryi i kończy się wezwaniem do Boga, aby pobłogosławił powzięte przez księcia postanowienie i ochraniał na wieki ojczyznę bulgarską i dynastyę Koburską.

Major Galliano wraz z batalionem swojm, do 1,000 ludzi dochodzącym, d. 30 z. m. wieczorem dotarł szczęśliwie do Baratierego pod Ada-Hagamus. Obawa zdrady okazała się płonną, włos jeden z głowy Askarysa lub Włocha nie spadł podczas podejrzanego konwoju abisyńskiego. Włosi w Makallo nic nie zburzyli. Według elementarnych pojęć, utraciliby wtedy prawo do odejścia z honorami — z całym taborem wojskowym. Podobno sami Abisyńczycy zrównali mury forteczki górskiej z ziemią. Dzienniki włoskie zataiły warunek, postawiony przez Menelika do spokojnego odciągnięcia Galliana: zażądał on wydania trzech książąt, porwanych w drodze ze Szwajcaryi do Włoch; mógł był tego zażądać i bez wzajemnej przysługi, a odzyskawszy łup, przysługą się nie wywzajemnić: skoro więc Galliana uwolnił i jeszcze odprowadzić kazał, nie musi być tak wcielonym szatanem, za jakie go samolubstwo włoskie podawało. Pokój nie przyjdzie do skutku, ale za to przychodzi do skutku wojna. Menelik zajął już Aduę i Axum i przedniemi strażami styka się z Baratierim, który do działania w otwartem polu ma 20,000 przeciwko 70—80 tys. menelikowym. Pozostałe 10,000 musi strzedz kraju. Stanowiska włoskie są już o 20 mil ściągnięte ku granicom Erytrei.

D. 11 b. m. zbiera się parlament angielski. Tymczasem ministrowie wciąż gadają. Chamberlain miał dwie mowy, Balfour dwie, Salisbury jedną — inni jeszcze dawniej produkowali się narodowi. Wszędzie umiarkowanie, wszędzie nadzieja dobrego końca po złym początku. Salisbury prócz sprawy armeńskiej dotknął d. 31 z. m. i sporu z Transwaalem, i zatargu z Ameryką o Venezuelę, i *home-rule*'u irlandzkiego. Ciekawy był okrzyk: „Uczcie się na Transwaalu, coby was czekało, gdyby *home-rule* nie miał pozostać już na zawsze miłem wspomnieniem dla tych, którzy o nim marzyli“ — a jeszcze ciekawsze twierdzenie, że Transwaal Anglii zawdzięczył swój samorząd. My wiemy, że Anglia Transwaal zagarnęła, a wypuścić go z rąk swoich musiała, gdy się na wolność wybił. Dowodem odosobnienia Anglii jest głośne pragnienie Chamberlaina, aby przynajmniej Ameryka, zamiast się kłócić, podała rękę Anglii w sprawie wschodniej.

We Francyi sądy prowadzą śledztwo przeciw Edwards'owi i St. Mathurinowi w sprawie listów Faure'a, jakoby otwierających widoki na nową Panamę — tym razem tonkińską. Przestępstwo Faure'a dobrem jest tylko na zabawkę dla dzieci lub nieczystą robotę dla intrygantów. W procesie fałszywej listy 104 nazwisk przekupnych (wrzekoma lista Artona) zapadł już wyrok, stwierdzający oszustwo, spełnione za pomocą druku we *France*. W procesie o Lebaudy'ego siedem już rozkazów uwięzienia wydano, sześć wykonano: najświetniej usalonowani dziennikarze, jak z *Figara* Jacques Saint Cere, żyd Rosenthal, siedzą w więzieniu. Zdechlaka wyzyskiwała cała banda, służyli mu fałszywemi świadectwami rzezimieszkowie wszelacy. Czy ich wszystkich na słońce Temida francuska wyprowadzi i pokaże? Arton ma już za tydzień znaleźć się w jej mocy.

Cesarz Wilhelm chce ogromnych sum na marynarkę, aby się zmierzyć z Anglią. Po 18 z. m. miał się wywnętrzyć jednemu z mężów politycznych, że rządy parlamentarne za niezrozumne w Niemczech uważa. Sejm miewa większości dopadkowe, ale nie ma większości stałej. Rozchodzą się pogłoski o dymisyi kanclerza, o kandydaturach na kanclerstwo. Hamerstein już przywieziony z Włoch.

---

pewnem ciałem uczonem a twoją nauką? Pomogłem ci, co? Czem byłbyś dziś, gdybyś wówczas posłuchał — sumienia?“

Wtem jakiś głos skarżący się zajęczał: „Ach, oszczędź mnie! Twoja szeroka droga czyż koniecznie moją wąziuchną, kamienistą ścieżkę przeciąć musi? Ja także żyć chcę, ja także chcę światła — odrobinę, szczyptę światła, szczyptę życia! Litości — och, nie rozdepc mnie!“

Lecz wnet zaszumiały inne:

„Nizko giełyśmy głowę przed kolosami świata; czepiałyśmy się płaszcza ich z kawałków fałszu zszytego...“

A inne:

„Z prądem niosłyśmy cię zawsze...“

Jeszcze inne:

„Po mętnej fali niosłyśmy cię, lecz z prądem...“

Inne znów:

„Przygrywałyśmy ci, gdy sumienie skrzypieć zaczynało, krzyczałyśmy, gdy ono wołało...“

Nagle z największych głębin odezwały się płaczliwe jęki i szare szmaty mgły wązkiemi, długiemi smugami pociągnęły w górę.

„Ach, mózg twój wielki, ale twoje serce — twoje serce jest puste! Ręce wyciągamy do ciebie, wychudłe, zczerniałe ręce, łzy nam płyną nieustannie — ale ty nas nie widzisz! Ty oczy wbijasz gdzieś wysoko, ponad głowy nasze, a serce twe nieme i głuche...“

Lecz tu zagłuszył je inny:

„Precz, nędzo! mój rydwan leci szybko. Czyż byłbym'u szczytu, gdybym przy was w nizinach ugrzązł?“

I nagle czystą, wibrującą nutą:

„O, dziecię, synaczku mój! Jakiś ty wielki! Jak ty wysoko! Stare oczy moje ledwo cię dojrzą. Lecz czyś aby nie zapomniał... miłować?“

Czerwona wstążeczka dygotała nad czeluścią w konwulsyach.

Opary szły, szły jedno za drugimi, rozpełzały się naokoło ciężkie, ciemne, brudne... Ogarnęły całą grupę skupionych osób, podniosły się do sufitu, padały na jasne ściany, przysłaniały szkła lamp. Stało się nagle tak duszno, że odetchnąć było trudno.

I wtedy to nagle, wbrew dotyczasowym moim instynktom, opanował mię poryw, raczej potrzeba konieczna sterganej, wstrząśniętej mojej duszy dowiedzenia się, ujrzenia wszystkiego. Zapragnąłem poznać odrazu, w jednej chwili, wszystkie myśli, pożądania, wszystkie najskrytsze poruszenia jestestwa tego zbiorowiska ludzi, jakie miałem przed oczami. Niechże do reszty spadnie mi z oczu opaska, niechże ich ujrzę takimi, jakimi są w istocie, nawskroś, do dna ich duszy — ci bliźni moi, ci — bracia... Gnany tą palącą żądzą jasnowidzenia, szedłem przed siebie, obchodząc wszystkie salony, zaglądając w każdy zakątek. Patrzałem i słuchałem.

I zdało mi się wtedy, że z tych ludzi dokoła mnie ruszających się uprzejmie, miłych, przyzwoitych, uśmiechających się do siebie przyjacielsko i rozbawionych, jakaś niewidzialna a potężna ręka zdejmowała wieka i przed memi oczami otwierały się czarne, przepaściste wnętrza, pełne kłębiących się wyziewów, skrętami gadów, wypełzających z dna. Widziałem te czołgające się brudne opary, licznymi skrętami zwijające się dokoła stołów kartowych, i gdy poważni gracze zamieniali ze sobą chłodne frazesy lub śmiechy i żarty — one, te gady, syczały z ich piersi wściekłością, tem straszniejszą, im bardziej tłumioną, nikczemną pożądliwością pieniędzy, drapieżnością gracza, przygotowującego zgubę partnerowi. Widziałem opary te, unoszące się nad tłumem rozbawionej młodzieży — mdłe, nikczemne, wychodzące z piersi świetnych, zalotnych kobiet — i szmery próżności, podrażnionych zmysłów, wstrętnej pustki ich duszy, syczały nad pięknemi ciałami; widziałem młodzież męzką, działaczy przyszłego

BADANIA NAUKOWE.

WIELKIE ODKRYCIE.

Wiek dziewiętnasty, jak zwolna dogasająca lampa, rzuca od czasu do czasu w godzinie konania jasne błyski olśniewającego światła w postaci wielkich, epokowych odkryć. Nie tak to jeszcze dawno, bo przed rokiem, lotem błyskawicy obiegła świat wiadomość o surowicy d-rów Behringa i Roux, gdy oto dziś roczniki wiedzy zapisują na swych kartach nie mniej może ważną nowinę. W grudniu roku zeszłego prof. uniwersytetu w Würzburg'u, dr. Wilhelm Konrad Röntgen, znany dotychczas tylko w niewielkiem kole specyalistów, wygłosił w tamtejszem Towarzystwie fizyczno-medycznem odczyt, zawarty w skromnej, dwunastostronicowej broszurze pod niemniej skromnym tytułem: „Eine neue Art von Strahlen" („Nowy rodzaj promieni"). A już dziś, w czasie wojen kolonialnych, zatargów wschodnich, szantażów paryskich i krachów gieldowych, świat kapłanów wiedzy i skromnych jej laików o niczem innem nie mówi i niemal nie myśli: odkrycie profesora niemieckiego zaprzątnęło powszechnie umysły. Dość powiedzieć, że wyżej wymieniona broszura rozeszła się już w paru wydaniach, że pracownie fizyczne w całej niemal Europie zajęte sa badaniem nowoodkrytych zjawisk.

Jak wiadomo każdemu, kto posiada bodaj elementarne wiadomości z fizyki, wyładowania elektryczne w rurkach Geisslera, czyli napełnionych gazami rozrzedzonymi, wytwarzają charakterystyczne zjawiska świetlne. Mianowicie przy dostatecznem rozrzedzeniu gazu, zawartego w rurce, wyładowania elektryczne, przebiegające przez nią, wywołują przy biegunie dodatnim (anodzie) rurki wązką smugę świetlną, posuwającą się stale ku biegunowi ujemnemu (katodowi) w miarę zmniejszania się gęstości gazu. Przy nader małem (kilkomilimetrowem) ciśnieniu wypełnia ona wreszcie całą zawartość rury, przyczem ciągłość jej się przerywa: smuga dzieli się na warstwy jasne, przedzielone ciemnemi: następuje tak zwane zjawisko stratyfikacyi (uwarstwowania). Barwa jest przedewszystkiem zależną od gazu, napełniającego rurkę: w azocie jest żółto-czerwoną, w wodorze — czerwoną, w kwasie węglanym—zielonawą itd. Gdy takie zjawiska zachodzą przy elektrodzie dodatnim rurki, przy przeciwległym ujemnym, nawet pod nie bardzo nizkiem ciśnieniem, występuje słabe światełko fioletowe, które zyskuje na sile w miarę rozrzedzania się gazu. Jednocześnie ciemna przestrzeń, oddzielająca światło stratyfikacyjne anodu od światła katodu, powiększa się kosztem pierwszego, które cofa się w kierunku anodu. W nadzwyczajnie słabem ciśnieniu przy katodzie powstaje smuga świetlna, składająca się ze wiązku t. zw. „promieni katodalnych," przebiegających wzdłuż całą rurkę.

Owe promienie katodalne odznaczają się dziwnemi własnościami, których badaniem zajmowało się i zajmuje spore grono badaczy: niegdyś Hittorf, Crookes, Hertz, obecnie Lenard i Rontgen i inni. Jeszcze Hittorf w 1869 roku przy pomocy prostych doświadczeń wykazał, że promienie te rozprzestrzeniają się po linii prostej i nie są w stanie przebiedz wzdłuż całej rurki, gdy ją zegniemy. Zauważył również, że wywołują one fluorescencyę niektórych ciał, jak np. szkła, spatu wapiennego itp. Wielce ciekawe i piękne są pod tym względem doświadczenia Crookes'a, wykonano kilka lat później, przy pomocy rurek z silnie rozrzedzonym gazem, noszących nazwisko tego badacza. Crookesowi udało się pomiędzy innemi wykazać mechaniczne oraz cieplikowe działanie promieni katodu. Następnie słynny fizyk Hertz zauważył, że promienie te przechodzą przez bardzo cienkie blaszki metalowe. Z tej ich własności skorzystał przed dwoma laty Lenard (*Wiedem. Ann.* t. 51. 1894 r.), badając rozchodzenie się tych promieni w gazach nierozrzedzonych. Następnie odkrył on dziwną własność promieni katodalnych odchylania się pod wpływem magnesu. Na zasadzie tych wszystkich własności wnioskują badacze, że promienie katodu rozchodzą się w czystym eterze, różnią się jednak znacznie od wszelkich znanych nam promieni świetlnych; tych ostatnich bowiem nic odchyla, jak przekonał się Curie, nawet najpotężniejszy magnes. Prócz tego promienie katodu różnią się od promieni świetlnych szybkością rozchodzenia się, gdy bowiem ostatnie przebiegają 300000 km. na sekundę, pierwsze, według obliczeń J. J. Thomsona, zaledwie 200 km.

Po tym pobieżnym wstępie przejdźmy do nowych „promieni X," jak je krótko nazywa Rontgen, które, według przypuszczenia („Eine neue Art von Strahlen" str. 10) mogą być uważane za pochodne od promieni katodalnych.

Rurkę, napełnioną dostatecznie rozrzedzonym gazem, Rontgen owijał dość szczelnie cienkim, czarnym kartonem i przepuszczał przez nią prąd elektryczny o dość znacznem napięciu przy pomocy dużej cewy Ruhmkorffa. Gdy niedaleko od rurki (nawet na odległości 2 metrów) stawiał ekran papierowy, pokryty cyankiem barytu i platyny, ekran natychmiast fluoryzował bez względu na to, jaką stroną (czystą czy zamazaną) był zwrócony do rurki. Najciekawszem przytem było bez wątpienia zjawisko przechodzenia owych nieznanych promieni przez czarny karton i przez papier ekranu.

Następnie Rontgen przekonał, się że wszystkie ciała przepuszczają owe promienie X, chociaż nie w jednakowym stopniu. Papier np. jest dla nich bardzo przezroczystym: ekran, postawiony po za grubą książką, składającą się z 1.000 stronic, nie przestawał świecić; cienka blaszka staniolu również jest przezroczystą, podobnież i deski o grubości 2—3 ctm., blaszki aluminiowe, cienkie blaszki (0,2 mm.) platynowe, srebrne, miedziane, ołowiane itd. Im grubsze jest dane ciało, tem trudniej promieniom X przejść przez nie. Nietylko wszakże grubość stanowi o przezroczystości ciał, ważną rolę odgrywa tu i wewnętrzna ich budowa. Tak np., porównywając przezroczystość blaszek jednakowej grubości z aluminium, spatu wapiennego, kwarcu i szkła, przekonał się Rontgen, że najmniej przezroczystym z tych ciał jest spat wapienny. Również kości gorzej przepuszczają promienie X, niż krew i mięso. Przezroczystość rozmaitych gatunków szkieł także nie jest jednakową: najgorzej przepuszcza szkło ołowiane (flintglas).

Nadzwyczaj ważną jest tu okoliczność, że klisze fotograficzne są względem owych promieni również czułe, jak i względem zwykłych świetlnych. Daje to możność utrwalania obserwowanych zjawisk. Tem jednak różni się to utrwalanie od zwykłej fotografii, że na kliszy nie otrzymujemy dokładnego obrazu przedmiotu, lecz tylko jego cień naturalnej wielkości. Tę zaś wygodę posiada podobne fotografowanie, że zdjęć można dokonywać w oświetlonym

---

wieku, lawirujących zręcznie między pokusą świetnej karyery i chwilowem brudnem połechtaniem zmysłów, — widziałem i słyszałem ukryte po kątach, pod osłoną uprzejmych rozmów i wykwintego obejścia się, gorączkowo, na prędce zadziergane podejrzane spekulacye, nikczemne intryżki... Słyszałem i widziałem szmer gładkich frazesów, pochlebne słowa i miłe wejrzenia — całą armaturę obyczajowej kultury dzisiejszej — a spodem jej, nizko, płynęły dymne, błotne wyziewy, ciężką sadzą padające na świetny połysk zewnętrznych ram, bezwstydnymi, cynicznymi sykami napełniające powietrze. Widziałem i słyszałem, co myśleli i czuli: czarne, pełne wzajemnej nienawiści, obłudy i nizkości ich wnętrza, całą kłębiącą się walką naszego świata, naszego codziennego życia. Widoku tego miałem pełne źrenice, i głosów tych pełne uszy—i pierś mi wezbrała olbrzymiem oburzeniem, olbrzymim bólem i wstydem — wstydem — wstydem!

Ukryłem twarz w dłoniach, chciałbym zniknąć w jakiej rozwartej u nóg mych rozpadlinie, którąby mię zakryła przed tem tarzającem się po prochach człowieczeństwem, przed tymi w bagnie tańczącymi błędnymi ogniami boskich, nieśmiertelnych duchów!..

Nagle z przedpokoju doleciał mię czysty głos dzwonka. To ona! Drgnąłem, jakby mię naraz jaki prąd piorunowy wyrzucił na mny brzeg. To ona! Jaką ją ujrzę? Z czem stanie tu przede mną? Co znajdę w jej sercu i czem jest to serce? Czem jest nareszcie ona sama, cała?

Czułem, jak istność moja napręża się we wzroku, wbitym we drzwi, czułem, że żyć przestaję, a tylko czekam — czekam w następnej, najbliższej chwili — zbawienia lub zagłady.

Drzwi się otworzyły, na progu stanęła Tonia.

W jasnej sukience, wysmukła, wdzięczna, dziewicza, uśmiechała się miłym uśmieszkiem i patrzyła wprost na mnie promiennemi oczami. Szła ku mnie prosto, nie widząc nikogo, nie witając się z nikim, jakby przeczuła, że ja tu jeden, czekając na nią, umieram z niepokojów. Zbliżyła się wreszcie i wciąż się uśmiechając, wzroku nie spuszczała z mych oczu.

Nareszcie, nareszcie! będę cię widział, będę cię rozumiał — szeptałem drżącemi wargami, natężając wzrok, słuch, wszystkie siły mego jestestwa.

A ona, mrugając na mnie płowemi rzęsami, przemówiła z uśmiechem zagadkowym:

— Już czas — doprawdy, już czas...

I kwiatem, trzymanym w dłoni, uderzyła mię po ramieniu.

Drgnąłem i — otworzyłem oczy.

Oblany gorącym potem, z głową w ogniu i krwią szumiącą w uszach leżałem na posłaniu. Nade mną stał pochylony mój Franciszek i zlekka dotykając mego ramienia, powtarzał:

— Już czas, już czas!

Ach, więc to był sen! O, dobry Boże, to tylko sen!..

Wiosenne słońce wesoło świeciło w okna, zegar wydzwaniał jedenastą — nie spóźnię się na posiedzenie ani pół minuty; twarz mego Franciszka patrzy na mnie tak poczciwie...

Ach — to był sen... Zobaczę moich bliźnich w ich codziennych, przyzwoitych maskach, bez żadnych zdradzieckich głosów ich myśli.

O, moi mili bliźni, takeście stokroć milsi — z maską — z maską...

. . . .

W. Dal.

KONIEC.

pokoju, nie posiłkując się aparatem fotograficznym, niema bowiem potrzeby wyjmowania kliszy z drewnianego pudełka, w którem się ona zazwyczaj znajduje; pudełko jest dla promieni Rontgena najzupełniej przezroczyste.

Promienie X dla naszego oka są niewidzialne, chociaż, jak przypuszcza uczony würzburski, ciała wchodzące w skład oka powinny być dla jego promieni przezroczystemi.

Nie udało się Rontgenowi wykazać działania cieplikowego tych promieni, ani też odkryć ich załamania i odbijania. Przeciwnie, wszelkie czynione w tej mierze doświadczenia, jak bezpośrednie, przy pomocy pryzmatu z miki, napełnionego wodą lub jakimkolwiek innym płynem, tak i pośrednie. polegające na przepuszczaniu promieni przez proszek srebrny lub cynkowy, który powinien byłby je odbijać i rozpraszać, zdają się dowodzić. że promienie X ani odbiciu,[1] ani załamaniu nie podlegają. Nie można więc ich skupiać przy pomocy wypukłych soczewek; fotografia soczewki wskazuje dokładnie, że jest ona bardziej przezroczystą w miejscach cieńszych. mniej przezroczystą — tam. gdzie jej wypukłość jest największą. Mniejsza lub większa przezroczystość ciał względem tych promieni jest więc, jak się zdaje, wynikiem nie odbijania. lecz pochłaniania ich przez pewne ciała, podobnie jak światło słoneczne bywa pochłaniane przez przedmioty czarne. Żadne również badania nie pozwoliły wykazać Rontgenowi, iżby jego promienie podlegać mogły polaryzacyi. Z ogólnych własności świetlnych zdołał tylko zauważyć. że natężenie światła fluorescencyjnego na ekranie jest odwrotnie proporcyonalne do kwadratu z odległości ekranu od rurki Crookesa.

Czy promienie X są katodalnymi? Na to pytanie, pomimo pewnych wspólnych cech obu rodzajów, daje Rontgen odpowiedź przeczącą. W samej rzeczy, promienie X nie są odchylane przez magnes, mniej pochłaniane, niż katody i nie wywołują, jak się zdaje, ani mechanicznego, ani też cieplikowego działania. Natomiast, jak przypuszcza profesor würzburski. są one pochodnymi promieni katodalnych i powstają w tem miejscu rurki, które fluoryzuje pod wpływem padających na nie promieni katodu.

W końcu swej ciekawej broszury wypowiada jeszcze Röntgen przypuszczenie, że może owe dziwne, nieznane promienie X są rezultatem podłużnych drgań eteru, gdy tymczasem fale zwykłego światła składają się, jak wiadomo, z drgań poprzecznych. Rozumie jednak sam uczony, jak ryzykowną jest podobna hypoteza, za której możliwością nie przemawia żaden prawie fakt stwierdzony.

Charakterystyczną cechą streszczonej broszury jest brak najmniejszej bodaj wzmianki autora o praktycznych zastosowaniach jego wielkiego odkrycia. A przecież zastosowania te, o których nam tyle rzeczy możliwych i niemożliwych piszą *Kuryery*, są ogromne. Nie myślał jednak o nich Rontgen, gdyż w pracy swej miał jedynie na celu postęp czystej wiedzy. Dla niej też ma jego odkrycie wielką, niedającą się obliczyć wagę. Stokroć łatwiej przewidzieć zastosowanie praktyczne. Tak np. przy pomocy tego odkrycia będzie można badać nadwyrężenia, złamania, zgruchotania kości. wyszukiwać w ciele człowieka takie przedmioty, jak np. kule, igły itp. Wiele też skorzystać może przemysł — np. w fabrykach żelaza dla wykrycia nierównomierności walcowania itd. Któż zresztą zdoła obecnie przewidzieć i przepowiedzieć w całej rozciągłości, jak wielkie znaczenie dla nauki i życia praktycznego mają i będą miały tajemnicze promienie X?

Na zakończenie niech mi wolno będzie poinformować czytelnika o pracach nad tą kwestyą u nas. Jeszcze przed otrzymaniem broszury Rontgena w Warszawie, gdy nadeszła do nas pierwsza wieść o odkryciu, zabrał się do badań p. W. Biernacki, prof. warszawskiej szkoły mechaniczno-technicznej. W pracowni fizycznej uniwersytetu otrzymał on szereg zdjęć, które niżej podpisany miał zaszczyt oglądać. Wypadły one świetnie: szkielet ręki i nogi, łapy żabie, zegarek itd. wyszły znacznie lepiej i wyraźniej, niż wszelkie znane dotąd fotografie, wykonane za granicą. Zdjęcia swoje, o ile wiem. ma p. B. zamieścić w pismach ilustrowanych warszawskich, co da możność bardziej interesującym się tą kwestyą czytelnikom bliżej poznać istotę odkrycia.

Michał Mutermilch.

WYLUDNIANIE SIĘ FRANCYI.

Francya „wyludnia się.“ Liczba jej obywateli maleje z roku na rok. Zjawisko to wzięło swój początek w pierwszej ćwierci obecnego wieku w paru okręgach Normandyi. Pierwotne ognisko. czysto miejscowe. rosło z biegiem czasu i ogarnęło całą prowincyę, z wyjątkiem miast. Drugie miejsce wyludnienia powstało około r. 1836 na wschodzie Francyi. trzecie utworzyło się r. 1846 w Gaskonii. Rozszerzając się w coraz dalszych okolicach oraz obejmując nowe punkty, wyludnienie przybrało wreszcie przed kilku laty rozmiary zatrważające, bo zamiast spodziewanego, acz niewielkiego przyrostu, cyfra ludności zaczęła od niejakiego czasu spadać liczebnie w całym kraju. Zjawisko to nie wypływa ze zwiększenia śmiertelności. która owszem zniżyła się. ani ze zmniejszenia liczby stadeł małżeńskich, która pozostała na dawnym poziomie, lecz jedynie i wyłącznie ze spadku płodności. Pojedyncze stadło małżeńskie miewa coraz mniej potomków. Niżej przytoczona tablica świadczy, że dążność taka datuje się oddawna:

	[illegible]żeństw za-[illegible] rocznie [illegible] 1000 mk.	[illegible] urodzeń [illegible] 1000 mk.	[illegible] padków [illegible] na 1000 mk.	liczba [illegible]
1801—1810	7,1	32,2	28,2	3,6
1820—1830	7,8	30,8	25,0	3,8
1840—1850	8,0	27,4	23,3	3,2
1860—1870	7 8	28,2	23,6	3,1
1880 – 1890	8,4	23,8	22,2	2,9

Objaw ten, bardzo groźny dla przyszłości Francyi, nie omieszkał przykuć do siebie uwagi uczonych i publicystów, którzy zaczęli poszukiwać powodów zmniejszonej płodności. Wyjaśniano go rozmaicie: obok rozważań głębokich wypowiadano poglądy płytkie. Wszyscy jednak, przynajmniej większość tych, którzy zaprzątali się sprawą ubytku ludności, przyznali, że zjawisko wypływa ze świadomego postanowienia: francuz *nie chce* posiadać dzieci i stosuje w pożyciu małżeńskiem praktyki, zapobiegające zapłodnieniu. Wobec takiego sformułowania chodzi tylko o wykrycie pobudek, tłomaczących powściągliwość. Każdy badacz czerpał wyjaśnienie ze swego otoczenia i tem samem spowiadał się z podmiotowych bodźców, działających pomiędzy osobami jego stanu.

Obecnie ukazała się nowa próba przelania światła na rozpatrywane zagadnienie — antropologa G. de Lapouge'a *) — może ryzykowna i błędna, lecz odznaczająca się oryginalnością.

Lapouge z góry zaznacza. że pytanie o pochodzeniu spadku płodności rozwiązano bardzo niedokładnie: naprzód nie uwzględniono jakości żywiołów, głównie ubywających. powtóre zaś nie zgłębiono dostatecznie powodów. czyniących francuza obojętnym na sprawę pozostawienia swego nazwiska licznym potomkom. Poprzestawano jedynie na danych statystyki, cyfrach suchych i oderwanych. pod któremi ukrywa się przecież wielka różnorodność antropologiczna. Przytem rozpatrywano kwestyę ze stanowiska czysto miejscowego. Tymczasem, zdaniem antropologa francuskiego, zawsze istniały okolice, w których ludność ubywała. Zjawisko to, właściwe wszystkim czasom i krajom, dzisiaj stało się powszechnem. Można wskazać w Europie parę miejscowości, w których przyrost ludności ustał; dążność ta istnieje także w Stanach Zjednoczonych. Owe ogniska niemocy społecznej rosną i zlewają się z sobą, rozpowszechniają się coraz dalej i grożą zapanowaniem na całym obszarze cywilizacyjnym.

Źródłem już zmniejszonego i coraz bardziej zmniejszającego się przyrostu ludności jest postanowienie, małżonków, świadomie i dobrowolnie powzięte — nieposiadania licznego potomstwa. Z jakiej pobudki wypływa taka decyzya? Lapouge roztrząsa zdania, tłomaczące ten objaw trudnością zarobkowania. obawą ubóstwa itd., lecz w końcu zaznacza, że wszystkie one nie dotarły do rzeczy. Kto bowiem uległ głosowi jednej z wyłuszczonych pobudek, postępuje tak tylko dlatego, że pociąg rozpłodczy stał się u niego słabym. Powzięte postanowienie nieposiadania potomków uwydatnia jedynie naturę głębiej tkwiących instynktów w czyimś organizmie. Z faktu wyludniania się Francyi trzeba wnioskować, że mamy w tym kraju do czynienia z zanikiem, względnie osłabieniem instynktu reprodukcyjnego, który, spotkawszy w życiu przeszkody, wyrzeka się natychmiast spełnienia swojego obowiązku: pomnożenia gatunku. Spadek przyrostu ludności idzie w parze nietylko z obojętnością na przyszłość rasy, lecz także z niemocy pociągu rozrodczego, wszystkie zaś te stany są objawami, występującymi wśród rasy mieszańców bezpośrednio przed jej wymarciem. W krzyżowaniu odmiennych żywiołów rasowych i licznem wytwarzaniu mieszańców spoczywa przyczyna główna i nawet wyłączna obecnego niedomagania we Francyi.

„U mieszańców wśród rodu ludzkiego — powiada Lapouge — pociąg moralny zachowania swojej rasy nie istnieje lub prawie nie istnieje. Odczuwają oni podnietę płciową, lecz nie posiadają instynktu rodzicielskiego. Potrzeba reprodukcyi gatunku oddzieliła się w ich jestestwie od chęci użycia: oba te stany, sprzężone nawzajem wśród typu czystego, uległy rozkładowi, pozostała podnieta, ale pociąg rodzicielski zaniknął. Zapłodnienie przestało być celem i spadło do poziomu przypadku. Mieszańcy nie są potencyonalnym zbiornikiem przyszłych pokoleń: w ich duszy walczą z sobą sprzeczne dziedziczności, każda domaga się swego utrwalenia, w ostatecznym zaś wyniku żadna nie bywa przekazaną. Warunki ekonomiczne, skłaniające mieszańca do powściągliwości, są tylko wymówką i pozorem, w gruncie rzeczy działa tam inna przyczyna. Instynkt rozpłodczy tak osłabł, że ustępuje przed pierwszą lepszą przeszkodą.“

Osłabionej woli pozostawienia potomków towarzyszy rzeczywista niepłodność. Na dziesięć milionów stadeł małżeńskich, istniejących we Francyi, około dwu milionów, tj. aż piąta część, nie posiada ani jednego dziecka. Odliczając z tego coś na pary, które świeżo pobrały się, pozostanie jednak jeszcze aż 18% z całego ogółu małżeństw. Cyfra powyższa. przeciętna dla całego kraju, waha się odpowiednio do okolic: w miastach podnosi się do 22 i 25% w Alpach spada do 2%. Trudno przypuścić

*) „Recherches antropologiques sur le probleme de la dépopulation“ (*Revue d'économie politique*, grudzień, 1895.

ażeby wszystkie stadła, dotknięte zupełną bezpłodnością, nie pragnęły mieć choć jednego dziecka. Niemoc ta wypływa z przyczyn organicznych: piąta część ogółu rodziców nie doczekała się potomstwa wbrew swojej woli! Lapouge posuwa się nawet do twierdzenia, że z góry postanowiona niepłodność ukrywa w gruncie rzeczy pod sobą faktyczny brak zdolności rozpłodczych: „przypadek“ bywa tak częsty, że w ostatecznym rezultacie tego rodzaju związki małżeńskie dają ten sam wynik, jaki bywa w stadłach, niepraktykujących powściągliwości. Przytacza on zdanie pewnego ginekologa, że „sto małżeństw, które nie zapobiegają zapłodnieniu, w sumie ogólnej nie pozostawiają więcej potomstwa, niż sto innych, postępujących ostrożnie, gdyż przypadek zdarza się tak często, iż wyrównywa wyniki ostateczne.“ Wreszcie wzrost niepłodności uwydatnia się w częstszem przychodzeniu na świat dziewcząt, niż chłopców.

Jeżeli krzyżowanie odmiennych ras jest przyczyną wzrostu względnej lub bezwzględnej niepłodności pewnych małżeństw, skutki, wynikające z tej przyczyny, powinny tam występować najsilniej, gdzie w związku małżeńskim łączą się jak najliczniej przedstawiciele różnych żywiołów antropologicznych.

Lapouge rozpatruje więc rozsiedlenie typów rasowych na powierzchni Francyi i otrzymane z tej analizy wyniki zestawia z rezultatami statystyki ubytku ludności. Przy badaniu rozmieszczenia rasowego poprzestaje tylko na wskaźniku szerokości czaszkowej i bierze pod uwagę wzajemny stosunek dwu typów: długogłowego blondyna, którego zowie *homo europaeus* i krótkogłowego bruneta (*homo alpinus*).

Do dziesięciu departamentów, odznaczających się najniższą wartością dla wskaźnika szerokości czaszkowej, należą departamenty: wschodnio-pirenejski, Aude, Korsyka, Haute-Vienne, Indre et-Loire, Dordogne, Niższej Sekwany, Północny, Pas-de-Calais, Aisne. Wskaźnik ten wynosi dla owych okolic 79, 80, 81. W liczbie departamentów, posiadających najwyższy wskaźnik, bo 86, 87 i 88, znajdują się: Lozera, Górna Loire, Cantal, Saône-et-Loire, Jura, Haute-Saône, Sabaudya, Doubs, Sabaudya górna.

Z drugiej strony Lapouge wylicza departamenty, wyróżniające się swoją płodnością, tj, te, w których na pojedyncze stadło małżeńskie przypada 3,5 potomków. Są to: Alpy dolne. *Pireneje wschodnie*, Aveyron, *Lozera*, *Haute-Loire*, Cerrere, *Korsyka*, Alpy nadmorskie, Alpy górne. *Sabaudya*, *Sabaudya górna*, *Doubs*. *Nord*. *Pas-de-Calais*, *Sekwana dolna*. Finistere, Morbihan.

Departamenty, przez nas podkreślone, są zamieszkałe albo przez krańcowo krótkogłowych, albo posiadają najniższy wskaźnik, tj. należą względnie do najczystszych rasowo. Liczba ich byłaby znaczniejsza, równoległość zaś większej płodności i czystej rasy jaskrawsza, gdyby tu i owdzie nie działały pewne przyczyny, mącące wpływ wymienionych powyżej czynników.

Przeciwnie dzieje się tam, gdzie płodność jest najmniejszą, tj. w departamentach, którym właściwe są pośrednie wielkości wskaźnika czaszkowego, co właśnie świadczy o zmieszaniu żywiołów rasowych. Podobnie miasta odznaczają się jednocześnie najmniejszym przyrostem ludności i największem pokrzyżowaniem żywiołów rasowych. W takiem samem położeniu znajdują się warstwy zamożniejsze. Objaw to zresztą powszechny: wszędzie większemu zmieszaniu ras towarzyszy spotęgowana niepłodność. Przyrost ludności jest znaczniejszy we Włoszech południowych, w których rasa jest czystsza, aniżeli na północy półwyspu Apenińskiego, większy w Niderlandach, niż Belgii. Niekiedy ubytek bywa tak wielki, że kraj wyludnia się i kultura jego zanika. Wiele ludów starożytnych zeszło ze świata z tego powodu: najazdy dziejowe bynajmniej nie mogą uchodzić za przyczynę zupełnego zaniku Babilończyków i Asyryjczyków, jedynie zmieszanie ras i wyludnienie dokonały tam dzieła zagłady.

Dotychczas, wraz z antropologiem francuskim, zastanawialiśmy się nad przyczynami wyludniania Francyi. Musimy teraz zatrzymać się jeszcze nad stroną jakościową zjawiska i, co za tem idzie, nad jego skutkami.

„W oczach pospolitych statystów — powiada Lapouge — wszystkie okazy ludzkie są jednostkami, posiadającemi tę samą wartość. Tymczasem socyologia antropologiczna opiera się na założeniach rozbioru rasowego. Statystyka daje nam pojęcie tylko o ilościowych rozmiarach strat, które poniosła pewna okolica lub ogół kraju, antropologia zaś zwraca naszą uwagę na stronę jakościową rozpatrywanego przebiegu. Z góry musimy zastrzedz się przeciw przypuszczeniu, jakoby poniesiona strata rozkładała się w odpowiednim stosunku na wszystkie rasy, względnie kategorye uzdolnień. Nie! mamy tam sprawę z dokonywającym się doborem, którego źródłem jest odmienność psychologiczna rasy, rozmaitość zdolności i gustów. Jakościowa strona wyludniania się Francyi jest bez porównania donioślejszą, aniżeli ilościowa: naród, bez następstw ujemnych, może utracić znaczną liczbę osób niższej kategoryi, lecz byt jego jest zagrożony, skoro opuszczono zanadto krwi wyższej. Tymczasem wyludnianie dzisiejsze zmierza właśnie do tego!“

Życie teogoczesne podkopało dawną osiadłość i stateczność bytu. Coraz większe tłumy opuszczają zakątek rodzimy i szukają szczęścia po za jego granicami. R. 1861 liczono we Francyi 3,884,000 osób, przebywających po za obrębem departamentu, w którym przyszły na świat, r. 1891 takich wychodźców było już 6,117,000! Otóż żywioły, przedewszystkiem emigrujące z okolicy, w której się urodziły, bynajmniej nie przedstawiają, pod względem rasowym, równoznacznika ludności, trzymającej się kąta rodzimego. Wartość fizyczna i duchowa wychodźców jest zawsze wyższą, niż przeciętna dla całego otoczenia, które opuszczają; nawet typ morfologiczny jest odmienny. Closson, jeden z uczniów Lapouge'a, badał, z takiegoż punktu widzenia, ludność napływową w departamencie l'Herault; przytoczona tablica przedstawia wyniki tych poszukiwań. Pierwsza rubryka podaje nazwę departamentów, z których pochodzili badani przybysze, druga daje wskaźnik szerokości czaszkowej u wychodźców, trzecia zaś u ludności departamentu, opuszczonego przez wychodźców:

Pochodzenie	Wskaźnik	czaszki
	[illegible]	w depart.
Gers	82,25	85,71
Ariege	82,59	82,89
Pireneje wschodnie	31,80	78,63
Aude	79,08	81,05
Turn	80,04	83.72
Aveyron . . .	84,04	85,50
Lozera	87,13	87,87
Ardèshe . . .	83,40	85,24
Gard . . .	82,43	83,12
Vaucluse . . .	80,77	81 53
Bouches du Rhône	82,77	82 22

Zawsze, z wyjątkiem dwu pozycyj, żywioły wychodzące są mniej krótkogłowe, aniżeli pozostające w domu (Lapouge stara się dowieść, że nawet owe wyjątki potwierdzają zasadę ogólną). Podobny rezultat dały badania, prowadzone w Rennes. Okazało się, iż wychodźcy odznaczają się skłonnością do długogłowości, większą objętością mózgu, wyższym wzrostem i jaśniejszą karnacyą, tj. posiadają w sobie większy zasób krwi blondyna długogłowego.

Lapouge wnioskuje, że wychodźtwo oddziela przedstawicieli rasy *homo europaeus* od innych pierwiastków rasowych i wpływa w dalszym ciągu na mieszanie się z krótkogłowcami. W ostatecznym rezultacie mieszańcy, zrodzeni z takich związków, wymierają. Wyludnianie się Francyi jest więc przedewszystkiem usuwaniem żywiołu długogłowego, który pada ofiarą spotęgowanego w kraju obrotu krwi ludzkiej. Wyrwany z odwiecznych siedzib, z otoczenia pokrewnego sobie rasowo, spotyka się on teraz z typami, bardziej oddalonymi. Powstaje rasa mieszańców, wymierająca po paru pokoleniach. Długogłowice zanika, tymczasem zaś rasa krótkogłowa, trzymająca się okolicy rodzimej i zabezpieczona od krzyżowania, pozostaje. *Homo europaeus* odznacza się niespożytą energią i ruchliwością, w przeciwieństwie do krótkoglowca, z natury swojej biernego. Ubywa więc Francyi żywioł postępowy— inicyatorów i odkrywców. Wyludnianie prowadzi nietylko do zmniejszenia liczby obywateli, lale uboży kraj i wycieńcza go jakościowo.

Przedstawiliśmy wywody Lapouge'a możliwie przedmiotowo. Zaznaczyć winniśmy przecież, że uogólnienia jego i wnioski sięgają dalej, niż fakty na to pozwalają, tudzież że nieraz trzeba powątpiewać o sumienności założeń. Antropolog francuski zanadto naciąga fakty do idei z góry powziętej. Przytoczymy tylko jeden szczegół. Jako dowód upadku kultury skutkiem wyrugowania w danym narodzie żywiołu blondynowego, przytacza on — Polaków! Na takim „fakcie“ opiera już dalsze rozumowania.

L.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Mary Robinson: *Emily Bronte* (Eminent Women).

Z licznych autorek angielskich najmniej znaną jest—o ironio!—jedyna, która posiada talent większy: Emilia Brontë. Pierwszy Swineburne miał śmiałość twierdzić, iż jej romans, „Withering Heights,“ jest wyższym od najsłynniejszych powieści G. Elliott. Z drugiej strony siostra Emilii, Karolina Bronte i pani Browning—dwa inne nazwiska dotychczas znakomite w Panteonie niewiast angielskich—coraz bardziej wpadają w zapomnienie, gdy natomiast sława Emilii rośnie z dniem każdym. Jestto może jedyny talent kobiecy w Anglii, który zdoła się utrzymać dłużej o własnych siłach, bez pobłażliwości dla płci słabej i względów postronnych.

O niej natomiast dotychczas milczano, dla takich właśnie względów. Romans jej jest obrazem namiętności czysto zmysłowej, przedstawionej z siłą wstrząsającą. Rzecz godna podziwu, jak młoda dziewczyna, nie mająca o życiu żadnego pojęcia, mogła rzecz podobną stworzyć. Jestto dowodem albo niesłychanej potęgi wyobraźni, albo też tajemniczych zajść życiowych. Bądź co bądź jest w niej coś niejasnego i niepokojącego. Wszystko to złożyło się na spisek milczenia, które przez długie lata otoczało jej imię.

Utalentowana poetka, Marya Robinson, dała w kolekcyi „Znakomitych niewiast“ jej biografię, która poniekąd, acz nie zupełnie, pozwala przeniknąć w głąb tej duszy.

Emilia urodziła się r. 1818; dzieciństwo spędziła w Haworth, zakątku Yorkshire'u;

jestto miejscowość pusta, dzika, pełna melancholii, która zostawiła swe ślady na ponurej wyobraźni późniejszej autorki. Ojciec jej, pastor Bronte, był pochodzenia irlandzkiego: rzecz naturalna, iż krytycy odnajdują w powieści Emilii rysy celtyckie—nigdy krew anglo-saksońska nie mogłaby wydać fantazyi tak lotnej i głębokiej. Reverend Patrick Bronte był ekscentrykiem mizantropem. Żona umarła w młodym wieku, pozostawiwszy sześcioro małych dzieci. Obchodził się z niemi surowo, źle karmił, często nawet głodził. Było ich pięć dziewcząt i jeden syn. Emilia po matce odziedziczyła —wraz z suchotami— czułość i melancholię, po ojcu — energię i namiętność. Obdarzona wczesną inteligencyą, czytała dużo, albo też marzyła błądząc po sąsiednich wzgórzach. Będąc podlotkiem, pisała opowieści fantastyczne, pełne obrazów ponurych.

Dwie starsze siostry umarły na tyfus, pozostałe rosły w cierpieniu, zwłaszcza Emilia, najwrażliwsza i najładniejsza ze wszystkich. Była wysoka, o wiotkiej talii, czarnych gęstych włosach, oczy miała ciemno-zielone, płeć bladą, na koralowych ustach błądził często uśmiech tajemniczy. Każde cierpienie znajdowało w niej odgłos, poświęciła się chorym i ubogim— milcząca i cicha.

Z czasem, jak to zwykle bywa z córkami pastorów angielskich, zostały guwernantkami, ale Emilia po roku nieobecności, przez wzgląd na zdrowie, musiała powrócić do domu. Zostawała tu sama z ojcem i ciotką od r. 1837 do 1842, zajęta gospodarstwem, od którego broniła się w chwilach wolnych przechadzkami i marzycielstwem.

W tym czasie pastor Bronte zdobył sobie młodego pomocnika, który, zdaje się, sprawił na Emili mocne wrażenie — tak przynajmniej zapewnia miss Ellen Nussey, przyjaciółka panien Bronte. Bliższych jednak szczegółów w tej sprawie nie posiadamy.

Wkrótce melancholia Emilii znalazła nowy pokarm. Brat jej, Bronwel Bronte, będąc nauczycielem w domu prywatnym, zakochał się w matce swego ucznia, uwiódł ją i, po wykryciu intrygi, musiał opuścić miejsce. Wrócił do domu zrozpaczony, nieszczęśliwy, przeklinając los, który go oddzielił od kochanej. Stał się nałogowym pijakiem. Rodzina odwróciła się od niego z oburzeniem. Tylko w Emilii jego nieszczęście wzbudziło litość bez miary.

Nie sypiała po nocach, wyczekując brata, który szukał zapomnienia w szynkowniach. Gdy, zataczając się, wracał, wybiegała na jego spotkanie i prowadziła do snu, wysłuchując przekleństw i złorzeczeń.

Prawdopodobnie wyznania tego nieszczęśliwca posłużyły jej do pojęcia i opisania wybuchów namiętnych miłości Heathcliffa, kochanka jednocześnie dzikiego i pokornego. Podczas tych nocy bezsennych pisała swój romans, w którym rozlegają się echa krzyków zmysłowych, westchnień i zgryzot jej brata.

Tymczasem siostry, Karolina i Anna, wróciły do domu. Założyły szkołę, do której, niestety, nie zapisała się ani jedna uczennica. Korzystając z niewielkiego dziedzictwa, pozostawionego przez ciotkę, wydały pod pseudonimem Currer, Ellis i Acton Bell, wspólny zbiór wierszy, który nie znalazł czytelników, ale krytyka odznaczyła w nim, jako godne uwagi, wiersze Emilii (Ellis). Są one pełne głębokiej melancholi i wyrażają jedno tylko życzenie — śmierci.

Karolina była osobą nader energiczną. Nie zrażona niepowodzeniem, zachęciła siostry do pisania powieści. Wzięto się do pracy, zwłaszcza iż bieda zaglądała coraz częściej do domu: ojciec stracił wzrok, brat coraz bardziej pogrążał się w nałogu. W takich warunkach dokończone były „Withering Heights“; Karolina napisała „Profesora,“ Anna — „Agnieszkę Grey.“

Posłano rękopisy do kilku wydawców londyńskich — wszyscy odmówili wydrukowania. Jeden tylko zgodził się wydać powieści Emilii, ale na jej własny koszt. Dołożono wielkich starań dla uskutecznienia tej propozycyi. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na nową powieść.

Siostry zabrały się do innych dzieł, ale Emilia na zawsze wyrzekła się literatury. Była dla ojca i brata prawdziwą Antygoną. Pielęgnowała ich z poświęceniem, pomimo śmiertelnej choroby, która ją samą nurtowała. „Pełna troski o innych, nie miała dla siebie litości — pisze o niej Karolina. Od swych drżących rąk, osłabionych nóg i biednych, znużonych oczu wymagała więcej, niż podczas zdrowia. Było męczarnią niewymowną widzieć to wszystko i nie śmieć nic jej powiedzieć.“

Umarła 15 grudnia 1848 r. Odtąd w ciągu czterdziestu lat było o niej cicho. Karolina Bronte okryła się sławą, dzięki szeregowi romansów sensacyjnych, dziś już prawie nieczytanych. Natomiast prostota i prawda, któremi tchnie powieść Emilii, uratowały ją od zapomnienia. Niewielka jednak z tego pociecha. Takie życie, zwarzone w zarodku, ma w sobie coś boleśnie okrutnego. To też i pod jej pokorą czujemy jakiś głuchy bunt. Jej modlitwa nie była zwykłą modlitwą kobiet: „Chciałeś, aby sprawiedliwość była zasłonięta, jak my. Nie będziemy wnikać w to, co usiłowałeś ukryć przed nami. Szanujemy przepaskę, która zasłania nam oczy.“ Owszem, ona prawie świętokradzką dłonią zrywała zasłonę z Izydy, a koło jej ust krążyło często bluźnierstwo. Namiętność dojrzała i gorąca, która bucha w jej powieści, jest wyznaniem. Czuła swe piękno bezużytecznem, gdy ono płonęło w czystości pośród raju wiecznego żądz niewyraźnych. Pełna łkań tajonych i gniewu, błądziła w sąsiednim lasku, ubarwionym w złoto i popioły, pośród magicznego stada cieniów jesiennych.

Wszystko to zawrzało w niej ostatecznie buntem. „Wathering Heights“ przedstawia osoby występne i przewrotne, zrywające więzy społeczne, które zgniotły biedną Emilię i ona nie ukrywa bynajmniej swej sympatyi dla tych osób.

Bogaty właściciel ziemski, sir Earnshaw, znalazł na ulicach Manchesteru małe, wygłodzone cyganiątko, żyjące o żebraninie. Przez litość zabrał je z sobą i wychował wraz ze swemi dziećmi.

Z Heathcliffa, pomimo ogłady, wyrósł istotny cygan, pełen energii, dzikich i występnych popędów. Córka jego opiekuna, Katarzyna Earnshaw, wydana przez ojca za dobrego, poczciwego Edgara Lintona, jest kobietą o duszy wolnej, poetycznej, zapamiętałą zwolenniczką chimer.

Autorka odmalowała w niej siebie. Jej żywiołowa potężna natura nie była przepuszczona przez prasę społeczną, skąd miała wyjść ogładzona, wymęczona i bezbarwna.

Prawdziwe pokrewieństwo duchowe istnieje między Katarzyną a Heathcliffem. W nim ona poznaje swe własne energie i poloty, tylko nie związane żadnymi względami społecznymi. Oddała mu się, otwarcie wyznając swą miłość. „On jest mną — powiada — on jest bardziej mną, niż ja sama; on jest piorunem, a ja jego błyskawicą.“

Gdy Edgar Linton woła lokajów, aby wyrzucić Heathcliffa za drzwi, Katarzyna chowa spokojnie klucz do kieszeni i spoziera z zimną pogardą na męża. Ona nie chce być zbawiona i całkiem oddaje się swej namiętności.

Ponure odblyski tej namiętności oświetlają dzieło, napełniają czytelnika niepokojem i strachem. Przebiega nas dreszcz przy tchnieniu starożytnej, fatalnej Wenery, którą autorka wywołała z niesłychaną potęgą. Natura wytrąciła człowieka z równowagi moralnej. Społeczeństwo obsypuje go gradem pocisków, a on, ginąc, zachowuje sobie prawo pogardy i złorzeczenia.

Cała powieść zostawia jedno ogólne wrażenie: rozdźwięku. Ale skądże pewność — tak obecnie przez śmiesznych pedantów rozpowszechniona — iż przyroda nie skazała nas na cierpienie? Źródła ich nie wysiąkną, póki zagadka bytu nie będzie rozstrzygnięta, póki nie zniknie nienawiść ku bliźnim, którą człowiek ma głęboko wszczepioną w sercu. A czy to może kiedyś nastąpić?

L. W.

LISTY Z PARYŻA.

Z wystaw bieżących: Andrzej Gachons, malarz marzenia. — Jubileusz instytutu francuskiego.— Mityng francusko-ormiański.

Przez duszę Andrzeja Gachonsa przeciągnęło wiele marzeń, snów o szczęściu ludzkiem. Jest to jedna z oryginalnych postaci w świecie artystycznym. Jeszcze przed trzema laty, kiedy miał rok dwudziesty drugi, zwrócił na siebie uwagę towarzyszów poetów. W salonie prywatnym urządzono wystawę jego tworów. Rozumna krytyka przyjęła ją z wielką życzliwością; odtąd talent młodego malarza rozwijał się, pogłębiał, ilość akwarel i obrazów wzrosła, a zamknięta niedawno ponowna wystawa w salonie miesięcznika *la Plume*, liczyła już przeszło dwieście rzeczy Gachonsa.

W historyi jego rozwoju rodzina grała zaszczytną rolę. Brat, Jakób, poparł go serdecznie; zamieszkali razem w Paryżu, i kiedy jeden studyował prawo i pisał wiersze, drugi pilnie pracował w akademii Juliena. Ukończył ją świetnie; ale nie profesorowie pracowni byli jego mistrzami. Bardzo wcześnie zamiłowania młodziana skierowały się w inną stronę. Nowy prąd w literaturze porwał go z sobą i uniósł w krainę bujnej fantazyi.

Przenosząc się w owe dziedziny twórczości, wziął za przedmiot swych studyów malarzy, którzy przedstawiali przynajmniej część tego życia, jakie on wyśnił: Flamandczyka Memlinga i Włocha Batticellego. Groty gotyckie, naiwne ze spuszczonemi oczami madonny łączą go z pierwszym; dziewice w bogatych szatach, barwy złociste, lazurowe i łagodnie czerwone—z drugim. Pośród francuzów oddziałali na niego Paris de Chavannes i Grasset. Z tym drugim, znakomitym ilustratorem starofrancuskiego romansu o czterech synach Aimona, Gachons styka się kilkakrotnie w wyborze tematów.

Przyjrzyjmy się tym, które go pociągają:

W lesie ardeńskim bardzo dawno temu zjawił się wiosną dziwny grajek. Pierwiosnki tryskały wówczas z ziemi i słowiki wyśpiewywały trele; do nich dołączył się gitarzysta. Smętny i tajemniczy, bo w głosie jego, towarzyszącym grze, tęsknota drżała, a nikt go nie mógł widzieć, tak krył się w zaroślach.

Grał dniem i nocą i muzyka przecudna leciała z lasu w pola i do wiosek, wpadała w ciasne uliczki miasteczek, oczarowywała wszystkich, którzy ją słyszeli. Powoli ludzie zaczęli zbiegać się ku puszczy leśnej i przestrzeń zadrzewioną jął opasywać coraz liczniejszy tłum słuchaczy. Wkrótce zaraza prawdziwa wybuchła: dążyli tam nietylko parobcy i dziewczęta, ale żołnierze z pod chorągwi, mnisi z klasztorów, kobiety zamężne. Prace gospodarskie ustały, bydła nie pędził nikt na pa-

stwisko, domy straciły mieszkańców. Bo grajek śpiewał i grał, szalenie, zawzięcie.

Chcąc uwolnić mieszkańców od niego, książę lotaryński, zebrawszy orszak ludzi i kilkunastu księży—na wypadek potrzeby odczynienia czarów—ruszył ku Ardenom. Kilka dni szukali po lesie, coś wodziło ich i łudziło wzrok, nareszcie nad rzeką spostrzegli czarownika. Był to młody, siedemnastoletni cygan, z długimi po ziemię włosami, który patrząc w zdrój leśny, oświetlony księżycem, grał.

Pochwycono go, wsadzono na koń i zawieziono do Metzu. Został prawie wolny, dano mu gitarę, lecz on chodził z sali do sali, instrumentu nie dotykał i czasem tylko przy otwartem oknie, ogarniał chciwie wzrokiem chmury.

Więc książę obrażony, że w jego pałacach cygan nigdy nie wywołał dźwięków, kazał go wrzucić do baszty, a sam od skwarów letnich wyjechał na wieś.

Dopiero wtedy pewnej nocy miesięcznej więzień zagrał. Zerwały się straże i w ich dusze wszedł dziwny smutek i tęsknota, zbudzili się mieszczanie i tłumnie pośpieszyli do zamku. Tak porywająco, tak cudnie brzmiała muzyka. Lecz nie o mieszkańców Metzu jemu szło. Jego dźwięki mknęły ku uszom dawnych słuchaczów rozproszonych, ciągnęły ich ku niemu. Nazajutrz tysiące stały pod murami z bronią, aby odbić grajka.

Wszczęła się krwawa walka, książę z odsieczą uratował miasto. Trzydzieści tysięcy ludzi legło od miecza. Ale kiedy zwycięzcy rzucili się ku baszcie, aby znienawidzonego czarownika wziąć na tortury, nikogo nie znaleźli.

W kilka dni potem mnisi grzebali umarłych na pobojowisku. Gdy podchodzili ku olbrzymiemu stosowi trupów, zbudowanemu z tysiąca ciał, doleciał ich odgłos gitary. Cygan stał na kurhanie z zabitych i grał...

Tajemnicza ta i piękna legenda średniowieczna, opracowana przez J. Lorraina, pobudziła Gachonsa do cyklu utworów.

Szczególnie piękne są obrazy, przedstawiające cygana samego albo kiedy gra w więzieniu i na trupach, gdy biorą go do niewoli. Ustępują pod względem wartości te sceny, w których poruszają się masy.

W świecie legendy, pod gwiaździstem niebem poezyi, żyje nasz malarz. Jeden z większych jego obrazów: „Dwór miłości“ przedstawia scenę, do której dostarcza tekstu historya trubadurów prowansalskich. Przed zamkiem, na murawie, wśród kwiatów zasiadła królowa z orszakiem dziewic, poeta recytuje im swe wiersze. Inne płótno, „U progu marzenia“ działa dziwnie kojąco. Gasi wszystko, co porusza duszę i usposabia do rojeń poetycznych. Jezioro, ujęte w półkole, śpi spokojnie. W falach przeglądają się wysokie modrzewie, u ich stóp lilie, kosaćcie, anemony, kwiecie blado-żółte i blado-brunatne. Cztery dziewice w powłóczystych sukniach, wyniosłe, stoją wśród kwiatów, dwie zapatrzone w jezioro, dwie toną w zamyśleniu. Jedna rękę wyciągnęła po kwiat, ale nie zrywa go, bo myśl gdzieś daleko buja.

Artysta naiwnie pobożny, sięga chętnie do legend religijnych, najwięcej jednak motywów dostarczają mu utwory, w których bohater — młodociany książę lub poeta — idzie w świat szukać szczęścia i miłości. Z zamiłowaniem Gachons maluje dziewice, darzące dobrą dolą młodzieńców, oddanych marzeniu. Piękną jest akwarela, zatytułowana: „Na drodze litości.“ Młodzieniec z mieczem u boku, w pancerzu, o rysach rafaelowskich, stąpa drożyną leśną. Wysokie drzewa cofnęły się nieco, aby otworzyć polankę; przez widzialną ich część na obrazku słońce swobodnie prześwieca. Na tle błękitnicią góry. U skrętu, pośród białych i blado-różowych kwiatów, rosnących w pas prawie, ukazuje się ta, o której on śnił: wysmukła, piękna, z obliczem marzycielskiem i pełnem naiwności.

„Mirbel“ powtarza ten motyw, ale zupełnie w innej formie. Pod chmurami czarnemi szarzeje stary zamek. Zielone drzewa przysłaniają część jego, dołem jak potok wije się droga. Do zamku zbliża się galijczyk długowłosy i młodzian w szyszaku z łukiem w ręku i koszulą drucianą na szatach. W jednem z okien stanęła dziewczyna.

Dziewice kąpią się, brodzą w kwiatach, grają na harfach, młodzieńcy jadą konno, podążają pieszo, płyną łodzią lub mkną na skrzydlatych rumakach. Wszędzie szlachetność rysunku, delikatność tonu, prostota pomysłu, nie dają prawie dostrzedz pokrewieństwa tematów.

Bez wątpienia, w niczyich obrazach nie odczuwa się tak bardzo jedności z kierunkiem młodych poetów francuskich: Quillarda, Vielé-Griffiina, Muiclaira, marzących o królewnach i ich ogrodach, pełnych kwiecia, o czasach bajecznych, z fantastycznymi potworami, o bohaterach starofrancuskich legend i poematów rycerskich.

Z utworów Andrzeja Gachonsa niewiele jest płócien i obrazów olejnych. Więcej niż połowę stanowią akwarele, znaczną część rysunki. Ilustruje on stale wydawaną przez brata co miesiąc *Księgę legend* (*Le livre des legendes*). Daremnie sam siebie nazywa nie malarzem, lecz „obrażnikiem.“

Jednak jest to talent wielkiej wartości. Z jego utworów bije woń poezyi; pięknych, wytwornie rysowanych postaci nie powstydziliby się uczniowie Rafaela. Jak Włosi, uwzględnia głównie osoby; tło podnosi tylko ich wdzięk lub nadaje im nastrój. Często niebo Gachonsa ma tony dziwne, drzewa są stylizowane; nie brak studyów to czyni, lecz z góry powzięty zamiar. Postacie bowiem oblewa wtedy samotność, cisza lub smutek. A to wszystko dopełnia koloryt miły, spokojny. Niema barwy krzyczącej, ostrej, gwałtownej. Paleta jego bogata, przechodzi przez wiele odcieni, ale tony jej mają w sobie zawsze coś z łagodności bladoróżowego kwiecia migdałów, które wiosenny wietrzyk włoski strząsa z gałęzi, prawie jeszcze niezaliścionych.

Instytut francuski obchodził setną rocznicę swego istnienia. Pomijam oficyalne przyjęcia, podejmowanie wszystkich członków przez księcia Aumale'a i obchód w Sorbonie. Rozpatrzymy się natomiast w dziejach owej fundacyi.

Przy końcu osiemnastego wieku istniało we Francyi pięć akademij, najstarsza z r. 1636. Pierwszymi ich protektorami byli niegdyś Richelieu, Ludwik XIII, Colbert, Ludwik XIV, Séguier. Akademia francuska, akademia królewska napisów, akademia nauk przyrodniczych; malarstwa i rzeźby; budownictwa.

Piątego sierpnia 1793 odbyło się ostatnie ich posiedzenie, ósmego już na wniosek Gregoire'a rewolucya zniosła wszystkie, a w lipcu roku następnego skonfiskowała ich majątek.

Nie była ona jednak przeciwniczką zasady akademij. Owszem, 25 października 1795 Daunon wniósł założenie przez republikę Instytutu, zcśrodkowującego w sobie ruch naukowy i literacki. Wniosek przyjęto i wnet nowe urządzenie rozpoczęło swe czynności. Dzieliło się na trzy sekcye: matematyczno-fizyczną z 60 członkami i dziesięciu poddziałami, moralno-filozoficzną z 36 członkami i sześciu częściami, i literacko-artystyczną, która liczyła 48 uczestników, podzielonych na osiem klas.

Przy otwarciu drugiej sekcyi Daunon wygłosił słynną mowę o doniosłości rewolucyi francuskiej i znaczeniu filozofii w jej przebiegu. Napoleon rozdzielił w 1803 r. Instytut na cztery akademie; przywracając wyłącznie literacką, oddał na posiedzenia pałac Mazarinich, a członkom wyznaczył po 1,500 fr. płacy.

Obecnie Instytut rozpada się na pięć akademij. Pierwsza, literacka, liczy członków 40, tak zwanych „nieśmiertelnych, choć są między nimi tacy, którzy jeszcze przed śmiercią umierają. Ażeby wejść do niej należy ogłosić jedno bodaj dzieło, w razie opróżnienia miejsca wysłać list do sekretarza, aby zapisał na listę kandydatów i złożyć wizyty wszystkim członkom. Posiedzenia odbywają się co czwartek, obowiązkiem zaś akademii jest układać słownik francuski. Ponieważ redakcyę jego już przed kilkudziesięciu laty zamknięto, więc obecnie przyjmują tylko i oceniają neologizmy.

Druga akademia: napisów, także czterdziestoczłonkowa, poświęconą jest archeologii i lingwistyce. Pod jej redakcyą wychodzi znaczna ilość cennych wydawnictw: „Historya literacka Francyi,“ „Historya wypraw krzyżowych,“ „Historya Galii i Francyi“ i in. Zarządza ona wykopaliskami w Afryce południowej i kieruje szkołami francuskiemi w Atenach i Rzymie.

Akademia nauk przyrodniczych, moralno-filozoficzna i akademia sztuk pięknych, uzupełniają szereg.

Każdy członek Instytutu pobiera sto franków miesięcznie. Akademia nieśmiertelnych stanowi wyjątek. Zaliczeni do niej mają tylko 1,000 franków pensyi rocznej. Czterej zaś najstarsi wiekiem i czterej najdawniejsi jej członkowie otrzymują po 2,000.

Obok redagowania wydawnictw specyalnych, na wszystkich częściach Instytutu ciąży obowiązek rozdzielania nagród naukowo-literackich, których ilość w ciągu stulecia wzrosła do bardzo poważnej sumy.

Staraniem komitetu patryotycznego Ormian urządzono w Paryżu r. z. d. 28 grudnia mityng, liczący do dwóch tysięcy osób. Henryk Rochefort i Ernest Roche wygłosili mowy w obronie nieszczęśliwego narodu. Rozdano obecnym przedruki memoryału, który Ormianie złożyli u ambasadorów mocarstw europejskich i w Wysokiej Porcie na tydzień przed rzezią konstantynopolitańską, prośbę o wolność sumienia, słowa, prasy zebrań, o równość przed prawem, możność noszenia broni wobec Kurdów i o reformy administracyjne. Wreszcie zebrani obywatele francuscy uchwalili protest przeciw barbarzyństwom tureckim i wystosowali do rządu republiki żądanie położenia im tamy jak najprędzej.

W. Bugiel.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PAMIĘTNIK.

Z karnawału.

Nie umiemy ściśle powiedzieć czytelnikom naszym, jak przebiega obecny karnawał. Sami bowiem nie mamy bezpośrednich w tym przedmiocie doświadczeń, a poważne źródła, na których zwykle opieramy nasze sądy, zaczynają się mącić. Tak np. tenże sam *Kuryer warszawski*, z którym niedawno „wkroczyliśmy w pełny sezon uciechy i wesela,“ nagle wyznaje, że honor tegorocznego karnawału uratowała dopiero p. Powiatowska balem na schronienie nauczycielek. Nadto paralityczną ochoczość dobiła jakaś nieprzewidziana przez nikogo „niespodzianka.“ Podczas balu na Przytulisko weszła „pewna niepożądana

osoba.“ Kto była owa osoba, dlaczego niepożądana, organy najbardziej wtajemniczone objaśnić nas nie chciały. Tylko legenda opowiada, że kiedyś jedna z patrycyuszek, której przysłano dwa bilety na plebejuszowski bal dobroczynny, dała je swemu lokajowi i pokojówce, że obecnie ktoś, mszcząc się za tę zniewagę, posłał jakąś jejmość niezbyt dostojną na zabawę arystokratyczną*). Musi być w tej opowieści dużo prawdy, skoro na porządek dzienny obrad naszej opinii publicznej weszła niezmiernie doniosła kwestya: czy na przyszłe bale dobroczynne wydawać bilety osobiste, czy — jak dotychczas — bezimienne? Zwolennicy pierwszej zasady domagają się wprowadzenia jej z wielką natarczywością, ażeby nadal zapobiedz takim wypadkom, jak opłakiwany obecnie. Obrońcy drugiej znowu ostrzegają przed fatalnymi skutkami, gdyż zamknąwszy sprzedaż biletów w kole imiennem, możemy znaleźć się w tem przykrem położeniu, że na bal przyjdzie kilkadziesiąt osób, które nawet do rana nie zdołają ubogim wytańcować znacznego dochodu. Niech czytelnik nie dziwi się, że w tej sprawie nie doszliśmy jeszcze do żadnego stanowczego wniosku, bo 1) jest ona do rozstrzygnięcia bardzo trudna, a 2) nieszczęsne promienie Röntgena odciągają ku sobie uwagę ogółu, który nie może skupić myśli. Imienne, czy bezimienne? Ach, Boże, gdybyśmy przewidzieli, co będzie lepsze, poradzilibyśmy fikającym Hamletom. Może imienne, a może bezimienne... Licho zgadnie. A możeby wezwać rządców domu, ażeby przed karnawałem sporządzili wykazy osób, godnych zaproszenia na bale?

Znowu etyka lekarska.

Chyba do najnieszczęśliwszych płodów pomysłowości ludzkiej należą ogłoszone dotychczas naszemu światu przykazania t. zw. „etyki lekarskiej.“ Naprzód bowiem nie są one podobne do żadnej etyki i nie wytrzymują żadnego probierza moralnego, powtóre nikt ich nie wykonywa. Jak gdyby jeszcze mało było tych płodów poronionych, lekarze Kamieńca Podolskiego wypracowali znowu „etykę,“ którą obwieszcza *Kuryer codz.* Składa się ona z siedmiu paragrafów: 1) chory nie powinien używać innego lekarza bez porozumienia się z tym, który prowadzi kuracyę; 2) nowy lekarz powinien odbyć naradę z poprzednim; 3) każdy lekarz powinien być troskliwym o chorego; 4) chorzy powinni wzywać tylko lekarzy dyplomowanych; 5) w wypadkach groźnych lekarz obowiązany jest zaproponować konsylium; 6) chory powinien być względem lekarza zupełnie szczerym, a ten — dyskretnym; 7) lekarz, który odwiedzi znajomego mu chorego, nie powinien z nim rozmawiać o chorobie, nie robić żadnych uwag o kuracyi itd. Ponieważ te przepisy nie wejdą prawdopodobnie nigdy ani do kodeksu, ani do... etyki, więc podaliśmy je w zwięzłem streszczeniu. Jak czytelnik zapewne sam dostrzegł, z tych siedmiu grzechów głównych — pardon! — cnót niezbędnych, pięć pamięta o lekarzu, a tylko dwie (3 i 5) o chorym. Ale mniejsza o zasadność lub bezzasadność owego heptalogu; zastanówmy się, czy on wyczerpuje wszystkie kwestye etyki lekarskiej i czy nawet dotyka najważniejszych? Bynajmniej. Jemu chodzi przedewszystkiem nie o moralne czyny i stosunki, ale o etykietę koleżeńską. Czy wezwany lekarz odprawi ze swym poprzednikiem naradę, czy ze znajomym chorym będzie mówił o jego kuracyi, to są sprawy drugorzędne. Natomiast jeżeli on np.. będąc etyatrą, zostanie lekarzem fabrycznym, który powinien być chirurgiem lub terapeutą; jeżeli robotnik ze strzaskaną ręką lub nogą musi znosić skutki jego nieudolności, a często całymi dniami wyczekiwać na jakiś ratunek; jeżeli wogóle lekarz traktuje posadę stałą jako synekurę lub źródło nieprawych dochodów; jeżeli amator „wypróbowywania nowych środków“ robi lekkomyślne doświadczenia na jakimś biedaku lub opatruje mu ranę brudnym bandażem; jeżeli lekarz prowincyonalny, wyzyskując niebezpieczeństwo, targuje się niemiłosiernie przed poradą z ubogim chłopem; jeżeli lekarz, widząc beznadziejny stan chorego, opuszcza go i nasuwa kolegę, ażeby na jego rachunek zapisano śmierć pacyenta; jeżeli spostrzega niewątpliwą błędność kuracyi i względom etykiety poświęca czyjeś życie itd. itd. — oto są wypadki, nadające się do osądzenia w etyce lekarskiej. Dopóki zaś ona stanowić będzie zbiór przepisów ceremoniału koleżeńskiego, dopóki uczyć będzie sztuki eleganckiego tańczenia menueta lekarzów przed chorym, dopóty nikt nie uzna jej za poważny system moralności specyalnej. Nie przeczymy, że stosunki lekarzy względem siebie powinny być ułożone w pewną prawidłowość, a nawet, że ponickąd na tej prawidłowości korzystają chorzy, ależ ona nie może być duszą „etyki“ — zarówno kamienieckiej, jak opoczyńskiej lub warszawskiej.

Bez adresu.

Kiedy ma być dyskrecya, niechże będzie dyskrecya. Jedno z pism gromi „najmłodszych wydawców“ temi słowy:

„Celem przyspieszenia wzrostu prenumeraty wprowadzono w ostatnich czasach t. zw. premia, czyli „bezpłatne“ podarki. Więc dodaje się do dziennika lub tygodnika: albumy, książki, nuty, mapy i t. d., poprzedziwszy premium odpowiednią reklamą. Z reklamy tej dowiaduje się czytelnik, że oprócz pisma odbierze prezent, przewyższający wartością wysokość prenumeraty, czyli, że będzie miał nietylko dziennik, tygodnik za darmo, lecz jeszcze małą dopłatę.

Zdawałoby się, iż się na taką pospolitą blagę kupiecką nikt nie „weźmie,“ a tymczasem uczy doświadczenie, że naiwna publiczność idzie skwapliwie w pułapkę.

Bo żaden kupiec nie otwiera sklepu dla pięknych oczu odbiorców, lecz jedynie w celu osobistego zarobku. Z tego wynika, że albo owe premium nie posiada wartości, ogłoszonej w prospekcie, albo też że wydawca wynagrodzi sobie w inny sposób zrobiony nakład.

Zwykle dzieje się jedno i drugie. Koszt premium pokrywa wydawca na drodze „administracyjnej,“ każąc sobie płacić: za przesyłkę, opakowanie, podklejanie i t. d., owego premium tyle, ile ono w handlu warte, samo zaś pismo wypełnia przez cały rok taką tandetą, iż zarabia grubo na owym „bezpłatnym“ podarku.“

Gdzie i kto — nie powiedziano, więc i my tajemnicy zdradzać nie będziemy. Ale na marginesie tego kazania pozwolimy sobie napisać kilka uwag. Wskazanie gorszącej i niesumiennej reklamy, która występuje coraz zuchwalej w rozmaitych sztuczkach handlarzów zaczernionego i zamalowanego papieru byłoby zasługą, gdyby temu zamachowi towarzyszyła odwaga, położenia na klątwie adresu. Natomiast wywijanie mieczem w powietrzu nikogo nie rani i nie uczy. Jeżeli owa orgia reklamowa stała się już tak bezczelną i szkodliwą, że aż wymaga dla siebie piętna publicznego, a dla ogółu — otworzenia mu oczu i jeżeli ktoś uważa się powołanym do spełnienia tej kary i usługi obywatelskiej, to chyba nie powinien straszyć swych czytelników, jak niańki straszą dzieci: „siedźcie przy mnie, bo was dziad złapie.“ A jak się nazywa ten dziad?—pytają dzieci — dorosłe.

Sprawy ogrodnicze.

Towarzystwo ogrodnicze płaci stałą zapomogę redakcyi *Ogrodnika polskiego*, a w zamian za tę ofiarę rozsyła go swym członkom darmo. Otóż p. J. Kaczyński na ostatniem zebraniu rzucił myśl przerwania tego stosunku i pozostawienia niezależności obu stronom. I my głosowalibyśmy za rozwodem, a głównie z tego powodu, że *Ogrodnik polski*, stanowiący jedyną korzyść członków zamiejscowych z należenia do Towarzystwa, przedstawia dla nich bardzo małą wartość. Składa się on bowiem w ⅓ części z projektów niewykonywanych lub niewykonalnych, w ⅓ z opisów i doniesień o rozmaitych hodowlach zbytkownych lub prowadzonych w warunkach całkiem odmiennych od naszych, co zwykłego czytelnika raczej ziębi, niż grzeje, wreszcie w ⅓ z luźnych notatek, mogących mieć jakieś znaczenie i dla naszego kraju i dla ogółu ogrodników. Zwykle notatki te, a nawet obszerniejsze artykuły kończą się sakramentalną formułą: „warto wypróbować.“ Naturalnie nikt tej rady nie słucha, a jeżeli uczeni i biegli współpracownicy *Ogrodnika* nie zadają sobie trudu „próbowania“ i nie czują z tego powodu zgryzot, to tem bardziej uważa się za rozgrzeszonego zwykły śmiertelnik — posiadacz sadu na wsi lub ogródka w mieście. Przyznaje on również, że wiele rzeczy „warto wypróbować,“ ale sądzi, że wtedy dopiero należy o nich pisać i że nie na nim spoczywa to zadanie. Naszem tedy zdaniem. *Ogrodnik polski* powinienby zaprzestać wołania: „warto spróbować“ i w doborze artykułów położyć główny nacisk właśnie na wyniki prób dokonanych. Podobno p. Leppert złożył Towarzystwu szczegółowy projekt w tym przedmiocie.

Widocznie pismo to nie czyni zadość potrzebie, skoro ma wychodzić drugie p. t. *Pszczelarz i ogrodnik*, jako organ Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego. Nie wiemy, ile w tem wydawnictwie zajmą miejsca pszczoły, a ile rośliny, gdyby wszakże redakcya miała zamiar poświęcić tym ostatnim więcej uwagi, radzimy nie bawić się w obrazki hodowli zbytkownej i egzotycznej, nie wytrząsać ustawicznie projektów, nie zalecać: „warto wypróbować.“ ale utkwić wzrok w potrzeby, dorobki i warunki własnego kraju, a czytelnikom podawać owoce doświadczenia.

Anti-masonizm.

Czytelnicy wielu krajów Europy, a między innymi i naszego. spotykając w gazetach, odbijających echa watykańskie, ciągłe gromy na wolno-mularzów, nieraz zapewne pytają: co to wszystko znaczy? Bo gdyby wierzyć tym źródłom, należałoby przypuszczać, że świat byłby spokojny, a jego losy zabezpieczone, gdyby nie masoni, którzy go jak krety ryją we wszystkich kierunkach, z wierzchu niedostrzegalni, ale w głębi ciągle czynni. Do licha — myśli i mówi niejeden — gdzież ci masoni są, kiedy nikt z nas ich nie widzi i o nich zbliska nie słyszy? Otóż winniśmy wyjaśnić, że oni rzeczywiście istnieją na zachodzie Europy i w Ameryce, ale opowieści o ich potędze, szerokich działaniach i wpływach są starą bajką, powtarzaną przez baby dziennikarskie, chętnie przyczepiające myśl do nadzwyczajności. Korespondent włoski *Słowa* tak opisuje nawrócenie się masonki, Joanny Vaughan, według jej dziennika. Razu pewnego przysięgła ona przed statuetką Joanny d'Arc, że wyrzecze się bluźnierstw religijnych:

„Zaledwie jednak wyrzekła była te słowa, gdy jakaś siła niewidoma pchnęła ją tak gwałtownie w tył, że uderzyła głową o ziemię i w chwili, kiedy miała się podnosić, ujrzała przed sobą Belzebuba, Astarotha, Molocha i dobrze znanego jej Asmodea. I tym razem, jak zawsze dotąd, ukazywali się jej pod postacią aniołów światłości, twarze ich jednak, tak zawsze miłe i słodkie, pałały niepohamowanym gniewem. Przerażenie ogarnęło ją a spotęgowało się jeszcze, gdy zobaczyła, że chcą rzucić

*) *Słowo* twierdzi, że była to rzeczywista dama.

się na nią, by bić ją, czy może udusić. Przeczuwając straszne, grożące jej niebezpieczeństwa, zawołała wtedy: Joanno! Joanno! ratuj mnie! Ryk straszny, rozpaczy i wściekłości, wydany przez wszystkich czterech naraz, odpowiedział na tę inwokacyę; zarazem jednak twarze i postacie szatanów przemieniły się i po raz pierwszy ukazali się jej w całej swej ohydnej, monstrualnej szpetności. Rozpoznawała i w tej przemianie właściwe rysy ich twarzy, ale twarze te, nad wyraz brzydkie i potworne, wyrażały teraz przestrach nie do opisania, gniew i rozpacz bezdenną. Po kilku sekundach, wyjąc przeraźliwie i przeklinając ją, zniknęli... na zawsze."

W DALI.

Kielce *Now. Wr.* pomieszcza z Kielc korespondencyę, zasługującą na streszczenie. „Ludność wygląda obecnie z najwyższem zajęciem ukończenia śledztwa pierwiastkowego w sprawie kilku band, które trudniły się kradzieżą koni oraz inwentarza w obrębie gubernii Kieleckiej. Wnosząc z energii, z jaką prokuratorya i władze śledcze zabrały się do wykrycia spólników tych band, spodziewać się można, że śledztwo, rozpoczęte mniej więcej przed pięciu miesiącami, pomimo zawiłości sprawy, wkrótce będzie ukończone, a tem samem rozproszą się obawy włościan miejscowych, aby złodzieje, osadzeni obecnie w więzieniu kieleckiem, po powrocie do domu nie podjęli na nowo swych kradzieży. Do jakich rozmiarów doszło złodziejstwo, o tem świadczy wymownie sama cyfra osób, powołanych do śledztwa; jest ich około 300 i całą tę kompanię wzięto pod klucz, aby uniemożliwić im uchylenie się od śledztwa i sądu. Choćbyśmy przypuścili, że z pośród 300 ludzi, powołanych do śledztwa, 150 będzie uwolnionych, pozostanie jeszcze i tak poważna liczba złoczyńców, nasuwająca bardzo bardzo smutne myśli. Przed rozpoczęciem procesu niniejszego kradzieże i rozboje były w gubernii naszej zjawiskiem pospolitem i w wielu razach uchodziły bezkarnie dla sprawców. Zuchwalstwo złodziejów i rabusiów posuwało się tak daleko, że tu i owdzie mieszkańców ogarniał formalny popłoch, podobny do tego, jaki panuje w czasie klęsk ogólnych w rodzaju dżumy lub moru. Oprócz herszów żydów i miejscowych włościan, do band należeli także wójtowie gmin, wydający złodziejom świadectwa dla kradzionego inwentarza, jako też pisarze gminni, zaopatrujący złoczyńców w paszporty. W jednem z miasteczek pow. Olkuskiego grasowali oni podobno prawie w dzień jasny: mieszkańcy, chroniący się ucieczką, nie byli nigdy pewni, czy powrócą do domu bez szwanku. Dochodzenie może wykryje nietylko uczestników band, lecz warunki, sprzyjające w ciągu lat kilku ich bezkarności — Adwokaci miejscowi postanowili, na wzór warszawskich, stworzyć biuro porady prawnej przy sądzie okręgowym. Celem tej instytucyi ma być przeciwdziałanie wyzyskowi ludności włościańskiej przez pokątnych doradców. — *Gazeta losowań* stanowczo zapewnia, że otworzenie filii Banku państwa w Kielcach jest już postanowione.

Dąbrowa Górnicza. W Sosnowicach, Będzinie, Dąbrowie i innych przyległych miejscowościach wobec nadzwyczaj ożywionego ruchu (powstaje przeciętnie 500 domów rocznie), daje się uczuwać brak budowniczych. Już obecnie do przyszłych robót wiosennych i letnich potrzebne są plany, które robić muszą majstrowie, nieposiadający uzdolnienia odpowiedniego i wiadomości specyalnych. Jedyny inżenier-budowniczy powiatowy, nie może podołać pracy. — Dąbrowa Górnicza liczy obecnie 15,424 mieszkańców stałych, a 25,530 niestałych. W cyfrach tych mieści się ludność całej gminy. Z ogólnej liczby 40,954 mieszkańców przypada: 259 na Rosyan, 33,707 Polaków, 2,924 Niemców, 2,554 Żydów, 1,318 Francuzów, 16 Włochów i 6 Tatarów.

Odesa. Mamy do zaznaczenia znamienny fakt, stwierdzający już nie wiem po raz który, że siedlisko uczuć ludzkich i wszelkich „wyższych porywów" częstokroć mieści się w brzuchu. Niedawno w Odesie z powodu 25-letniego jubileuszu doktora Korsza, koledzy postanowili urządzić obiad na 150 osób, przyczem ogólną sumę wydatków obliczono przeszło na tysiąc rubli. Jubilat wszakże odrzucił taką formę uczczenia jego zasług i natomiast zaproponował, ażeby sumę powyższą ofiarowano na zapłacenie wpisów za studentów ubogich. Rady tej usłuchało 17-tu kandydatów do uczty. Ogólna zaś suma, przeznaczona dla młodzieży, wyniosła... 90 rs.! — Zatwierdzono Towarzystwo filantropijne przy kościele katolickim w Mikołajowie.

Petersburg. Ministeryum skarbu zwróciło szczególną uwagę na sprawę wykształcenia handlowego i szkół sztuki stosowanej do przemysłu. Inicyatywa prywatna rozwija się w tym samym zakresie. W Petersburgu powstaje Towarzystwo popierania wykształcenia handlowego, w Moskwie zaś odbyło się posiedzenie założycieli Towarzystwa krzewienia wykształcenia artystyczno-przemysłowego.

SPRAWY EKONOMICZNE

ORGANIZACYA POŚREDNICTWA.

Członkowie różnych sekcyj Towarzystwa p. r. przemysłu i handlu w Warszawie poruszyli myśl otworzenia biura „wywiadowczo-informacyjnego" dla praktyki i terminu w różnych zajęciach fachowych. Celem tej instytucyi ma być zawiadamianie rodziców, w których fabrykach i warsztatach są miejsca wolne dla praktykantów, jakie są wymagania, wreszcie—jaki ma być stan zdrowia kandydata do pewnej dziedziny pracy. Jednocześnie p. Marya Szmidtowa kołata przez powyższe Towarzystwo o biuro pośredniczące w dostarczaniu pracy kobietom. O ile przypominamy, sekcya techniczna już zorganizawała taką pomoc rekomendacyjną—dotąd zdaje się na papierze. Wreszcie Towarzystwo pracowników handl. i przemysłowych w Warszawie również poświęciło drobinę swej działalności tym zabiegom. Oto i wszystko, co dotąd u nas zrobiono i *zamierzono* zrobić. Tymczasem działają różne prywatne kantory stręczeń, „biura kaucyonowane," które ze względu na swój charakter przedsiębiorczy nie odpowiadają ani zadaniom, ani potrzebom istotnym, przy tem nie mogą zaskarbić zaufania ogółu, bo taki pośrednik nie potrafi dać najmniejszego zapewnienia, iż obie strony będą dla siebie pożyteczne i rzetelne. Kto więc tylko może, stara się o pracowników przeważnie —przez znajomość, bo zarobkodawca ma nadzieję, że mu przyjaciel lub dobry znajomy nie nastręczy człowieka nieodpowiedniego. Ale nie każdy może w tym celu wyzyskać stosunki towarzyskie lub nawet posiadać je w owym zakresie. Wszelkie zatem „posady" czyteż „miejsca" lub zajęcia doryweze są zdobywane przypadkowo, zależą od chwili pomyślnej dotarcia do gabinetu jakiegoś możnowładcy ze świata finansowego, doręczenia mu listu podczas dobrego humoru. Niejeden oficyalista lub urzędnik, po długoletnim kołataniu do różnych instytucyj i „sfer" zawdzięcza swoją placówkę temu, że trafił do protektora w okresie lekkiego trawienia. Wielu zaś straciło raz na zawsze sposobność wykołatania korzystnego źródła zarobku, bo ślepy los skierował ich do „ustosunkowanych" lub rozdawców posad, gdy ci mieli niedyspozycye żołądkowe.

Po za tem istnieje inna droga — ogłoszenia w pismach i umocowywanie się na placówkach pracy za pomocą kaucyi. Tłumy zbankrutowanej szlachty lub różnych przedsiębiorców, którzy zdołali ocalić jakiś fundusik z pod gruzów swego bytu niezależnego, kelnerzy, którzy przez długie lata uciułali pewną sumkę z napiwków, to są rzesze, garnące się do wielkich ognisk na służbę za kaucyą, w sklepach, kantorach, przedsiębiorstwach prywatnych; to tłumy do wszystkiego. Każdy weźmie, co się da: posadkę kasyera w sklepie bławatnym lub składzie węgla, korespondenta, jeżeli zna chociaż dwa języki jako tako, rządcy w hotelu, wreszcie nawet miejsce szwajcara. Te gromady rozbitków, niezdolnionych do żadnej pracy zawodowej, za bezprocentowe ulokowanie swych sumek u przedsiębiorców, spełniają rolę wiecznych popychadeł, połykających z cicha upokorzenie i zniewagę. Na tych kaucyach i łatwowierności ludzkiej wzniósł się niejeden aferzysta; niejeden przedsiębiorca za pośrednictwem owych pożyczek bezterminowych i bezprocentowych poprawił swój byt nadszarpnięty. Ale nie zawsze w ten sposób kupione posady są pewne i rzeczywiste. Wielu kandydatów „do jakiejkolwiek pracy" po złożeniu kaucyi nigdy nie oglądało ani swoich zarobkodawców, ani tych zakładów, które im miały byt zapewnić. Dzieją się tu bowiem takie oszustwa, u raczej złodziejstwa, jak przy ściąganiu zaliczek przez usłużnych pośredników za wyrobienie „miejsca." Niedawno jakiś rzezimieszek zebrał sporą sumę od kelnerów, których zamówił do swej restauracyi w Niższym Nowogrodzie, urządzonej dla gości wystawowych. Ale jeszcze na parę miesięcy przed otwarciem wystawy zdążył zniknąć bez śladu. Nie pierwszy to i nie jedyny wypadek, notowany w Warszawie i innych wielkich miastach, a nawet na prowincyi.

Taki jest obraz dzisiejszego pośrednictwa w poszukiwaniu pracowników i pracy. Jedni się skarżą na brak ludzi „uzdolnionych," drudzy — na trudność zdobycia stanowiska zarobkodajnego. Prawda, że z łowców posadek składają się tłumy, gdy istotnych fachowców jest niewielka gromadka. Ale i ci nie zawsze mogą liczyć na pewny skutek swych zabiegów; więc zdolny, doświadczony technik, zgnębiony, wyczerpany niepowodzeniem, chwyta się wreszcie jakiejkolwiek pracy, niemającej nic wspólnego z jego zawodem. Gorzelnik wytrawny i rzetelny, marzy o służbie „przy monopolu," leśnik — o zajęciu biurowem w mieście, agronom — o posadzie w Towarzystwie kredytowem ziemskiem lub banku.

Na zjeździe ziemian w Moskwie uznano za niezbędne stworzenie biur pośredniczących w poszukiwaniu pracy przy wszystkich towarzystwach rolniczych.

Nasza sekcya rolna, chociaż dużo rozprawiała o doli oficyalistów wiejskich i o potrzebie zabezpieczenia ich bytu, dotąd nie pomyślała jednak o tym środku. Obecny zaś projekt biura wywiadowczo-informacyjnego przy różnych sekcyach, ma na celu tylko terminatorów i praktykantów. Inaczej rozumiemy zadanie takiej instytucyi. Towarzystwo p. r. przem. i handlu posiada przecież sześć sekcyj, z tych każda obejmuje dział ważnych spraw wytwórczo-handlowych, opartych nietylko na pracy terminatorów i praktykantów. Sekcya zatem chemiczna i techniczna powinny się zająć wyszukiwaniem pracy dla fachowców w tym zawodzie, rolna — dla oficyalistów wiejskich, rzemieślnicza — dla specyalistów w różnych gałęziach rzemiosła, cukrownicza— dla fachowców i urzędników fabrycznych, wreszcie handlowa—wyszukiwaniem nietylko chłopców do sklepów. Oczywiście nie może być tyle biur, ile jest sekcyj. Trzeba stworzyć jedno wspólne. Mamy jeszcze inne instytucye, które mogłyby również pośredniczyć: Towarzystwo ogrodnicze, pszczelniczo-ogrodnicze, rektyfikacyjne, wreszcie w przyszłości Towarzystwo chmielarskie. Każde z tych ognisk

spraw ekonomicznych ma rozgałęzione stosunki w całym kraju i dać może poważną rękojmię moralną.

Dotychczas wszakże panuje znamienna jednostronność. Pośrednik obowiązany jest zapewnić ową rękojmię jedynie ze strony pracownika. Żądanie zaś dowodów rzetelności i niezbędnych cech etycznych od zarobkodawcy uważane jest wprost za nieprzyzwoitość, a nawet krok ubliżający. Tak dalece przesąd ten wszedł w zwyczaj, że nawet Delegacya pracy kobiet przy Towarzystwie przemysłu i handlu w Warszawie bardzo gorliwie troszczy się o zbadanie konduity pracownic, a jednocześnie ujawnia pewną nieśmiałość, gdy chodzi o gwarancyę dobrego traktowania kandydatek. Prawda, że dotychczas cała działalność ograniczała się do wyszukiwania zajęcia wakacyjnego, które uważane jest za łaskę, czy też filantropię, pomimo że wypoczynek letni bywa sowicie opłacany pracą szwaczek. Ustępstwa w tej mierze są w interesie nierzetelnych pracobiorców; to też zrównanie żądań i wymagań wzajemnych na razie zniechęciłoby, ale właśnie tylko tych, którzy poniżającem traktowaniem i wyzyskiem pracowników chcą prowadzić swoje przedsiębiorstwa. Otóż biura rekomendacyi pracy tylko w takim razie odpowiedzą całkowicie swemu zadaniu, gdy będą udzielać wyjaśnień obustronnych, gdy na indeksie postawią tych, którzy nie pozwalają zagrzać miejsca nawet ludziom sumiennym, zdolnym, najcierpliwszym i najuleglejszym. Znane są, niestety, dość liczne fakty uciekania oficyalistów od takich zarobkodawców, obdarzających zniewagą i niewypłacających wcale należności. Gdyby więc biura, np. przy towarzystwach rolniczych, były zorganizowane na zasadzie wspólnych interesów; gdyby ostrzegały poszukiwaczów pracy przed nieuczciwymi, to wkrótce i ci zaczęliby się rachować z godnością ludzką, właściwie oceniać ich trud i uzdolnienie. Wreszcie możeby zniknął z czasem system korzystania z bezpłatnej pracy „na próbę.“ Rozsądni i uczciwi nie obrażą się za udzielanie o nich wiadomości poszukiwaczom pracy, przeciwnie — obie strony zyskują, wytworzy się bowiem wzajemne zaufanie i utrwali wymianę usług.

Znaczenie wszakże takich biur może urosnąć, a działalność ich rozszerzyć się dopiero wtedy, gdy pomnożą się szeregi nie dyletantów, poszukiwaczów „wszelkiej“ pracy, lecz ludzi gruntownie wyćwiczonych w danym fachu. Biuro rekomendacyi przy Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych w Warszawie dotychczas nie może rozwinąć swej działalności należycie dlatego, że musi odmawiać wielu zarobkodawcom, żądającym fachowców, obeznanych gruntownie z rachunkowością, praktyką handlową i posiadających obce, najniezbędniejsze języki. Taki brak kandydatów, a więc i zawód, uczyniony parę razy, zniechęca kierowników, czy też właścicieli przedsiębiorstw ekonomicznych, osłabia zaufanie powszechne do organizacyi pośredniczącej.

Zatem jej powodzenie musi być ściśle związane z produkcyą sił fachowych, tj. szkolnictwem specyalnem, odpowiadającem potrzebie życia. Mamy zaledwie szkoły: mechaniczno-techniczną w Warszawie, wyższą rzemieślniczą w Łodzi, sztygarską w Dąbrowie, ogrodniczą w Częstochowie i wkrótce doczekamy się niższej rolniczej, ale dla użytku może kilku folwarków. Natomiast nie mamy ani młynarskiej, ani projektowanej przed paru laty gorzelniczej, ani chemicznej, budowlanej, ani wielu, wielu innych (które wyszczególniliśmy w nr. 45 *Prawdy* z roku przeszłego). Takie zakłady naukowe powinny również spełniać rolę pośrednika, rekomendować swych wychowańców różnym instytucyom zarobkodawczym. Uczeń, ożywiony pewnością, że po skończeniu szkoły wejdzie natychmiast w środowisko pracy produkcyjnej, swą wiedzę, z mozołem nabytą, odda na usługi społeczne — będzie się kształcił z zapałem. Energia zaś jego, nie poszarpana, nie zgnębiona długiem niepowodzeniem, pójdzie na korzyść ogólną. Żeby atoli szkołę pogodzić z życiem, trzeba głębiej i baczniej do niego sięgać, trzeba żeby program nie był szmatą obłoków teoretycznych, z których kandydaci do pracy spadają nagle na ziemię twardą.

Nie należy poprzestawać na tem, że myśl stworzenia racyonalnych rynków pracy coraz bardziej zwraca uwagę powszechną, że powiedzą o niej, na zjeździe lub w sali jakiego stowarzyszenia, w formie pobożnych życzeń. Nasze instytucye, ogniskujące wszelkie sprawy ekonomiczne, powinny uważać za wielki obowiązek gruntowne opracowanie organizacyi pośrednictwa i podania wniosku władzom właściwym, tem bardziej, że one same ujawniają obecnie chęć przyłożenia ręki do takich urządzeń, ułatwiających zarobkowanie. Istnieje osobna komisya dla wszechstronnego zbadania warunków pracy mas robotniczych i przedsięwzięcia środków, które pozwoliłyby zregulować wędrówki tych rzesz oraz równomiernie je rozmieścić tam, gdzie największe jest poszukiwanie rąk. Ministeryum rolnictwa ze swej strony zwróciło uwagę na warunki pracy najemnej i postanowiło zbadać owe wędrówki mas w celach zarobkowych. Otóż należałoby skorzystać z tego ruchu w sferach ministeryalnych, tj. opracować projekt organów pośredniczących i przedstawić je do poparcia.

Ministeryum skarbu, chcąc również przyczynić się do nagromadzenia materyału przygotowawczego, zbiera szczegóły, dotyczące podobnych urządzeń zagranicznych.

W Stanach Zjednoczonych na czele biur wywiadowczych stoi rządowe pod nazwą: *U. S. Free Labor Bureau*. Obowiąkowo nie udziela ono informacyj ani o tem, gdzie są potrzebni robotnicy, ani o cenach pracy. Istnieje przedewszystkiem dla najmujących i różni się od zwykłych kantorów stręczeń tylko tem, że obie strony nic nie płacą. Nadto we wszystkich ogniskach handlu i przemysłu są t. zw. *Employnen Offices*, t. j. kantory dla najmu służby i robotników. Pobierają one zwykle 1—2 dolary od poszukującego pracy, same zaś nie starają się dla niego ani o zajęcie doryweze, ani stałe. Dopiero gdy się zgłosi zarobkodawca, przedstawiają mu listę robotników. Kantorów takich, utrzymywanych przez zwyczajnych przedsiębiorców, dbających, o interes osobisty, jest w New-yorku 189. Przychodzą tam zazwyczaj obrotni członkowie rzesz artelowych (*Labor Bosses*) często w roli agentów stowarzyszeń, fabryk i t. d.; zebrawszy dokładne wiadomości, skierowują najemników tam, gdzie jest zapotrzebowanie. Są jeszcze inne podobne kantory. Pożytek z nich wszakże niewielki, szczególnie dla poszukujących pracy. Skutkiem tego powstały t. zw. *Laboring Lodging Houses*, coś w rodzaju mieszkań umeblowanych dla robotników, w większości utrzymywanych przez *Labor Boss* ów, w których interesie jest możliwie najprędzej znaleźć miejsce dla swych robotników. Płaca za pokój wynosi 25—50 centów dziennie, lub $1\frac{1}{2}$ 3 dolary tygodniowo i odpowiednio do tego kosztuje stół. Robotnicy korzystają z kredytu, ich zaś orędownicy posiadają dokładne informacye o zapotrzebowaniu rąk, pozostają z sobą w ścisłych stosunkach przekazują nawzajom swych klientów wraz z ich długami. Inny jest sposób wyszukiwania pracy dla fachowców. Muszą oni zapisać się w poczet członków stowarzyszenia (*Union*) swej specyalności.

Wszystkie te organizacye, jak widzimy, noszą charakter przeważnie przedsiębiorstw prywatnych, mają na celu interes osobisty aferzystów, którzy umieją wyzyskiwać masy robotnicze. Oczywiście nie są wzorem do naśladowania. Należałoby się rozejrzeć w innych urządzeniach wywiadowczych za granicą, jako w materyale porównawczym. Nasze atoli warunki pracy w większości wypadków są odmienne, więc nie można dla nich brać gotowej mody, chociażby najlepszej, bez żadnej zmiany.

Zen. Piet.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. We Lwowie przeciw wnioskom ustawy łowieckiej przemawiali włościanie. Krawczyk utrzymywał, że wprowadza ona nowy serwitut na własność gruntową. Bojko wykazywał dotychczasowe krzywdy ludu przy licytacyach polowań tudzież szkody, wyrządzane przez niektóre zwierzęta. Wojak doradzał ustawę sprawiedliwszą, czeską. Włościanie wnieśli liczne poprawki, które jednak większość odrzuciła. Gdy ich przegłosowano, demonstracyjnie opuścili salę.

— W Krakowie odbyło się pierwsze zebranie członków Towarzystwa im. Jana Matejki. Dom mistrza będzie zamieniony na muzeum pamiątkowe po zmarłym. Zwyczajnych członków jest dotychczas 36.

Szkoły. We Władywostoku tłomacz Michajłowskij otworzył bezpłatny kurs języka chińskiego.

— W Warszawie liczba szkół miejskich i elementarnych jest niedostateczną, skutkiem czego $^3/_4$ kandydatów nie znajduje w nich pomieszczenia. Najwięcej jednak daje się odczuwać brak miejskich (według ustawy z r. 1872) jako mających największe zastosowanie do potrzeb miejscowej ludności. W obszernem i szczegółowem opracowaniu sprawę powyższą przedstawił tutejszej władzy miejskiej p. inspektor szkół miasta Warszawy. Domaga się on wyznaczenia z funduszów miejskich odpowiedniego zasiłku na utworzenie przynajmniej dwu nowych szkół miejskich, które dając odpowiednie wykształcenie młodzieży miejscowej, zapewniają jej przytem przywileje przy wstąpieniu do wojska i służby rządowej. Obecnie jedna taka szkoła trzyklasowa z sześcioletnim kursem, utrzymywana jest z funduszów skarbowych, gdy tymczasem w miastach prowincyonalnych także zakłady są na koszcie miejskim. Tymczasem inspektor proponuje otworzenie czteroklasowej i trzyklasowej; koszty utrzymania wyniosą około 10,000 rs.

— Ministeryum oświaty pozwoliło otworzyć w Wilnie szkołę średnią chemiczno-techniczną.

Doniesienie urzędowe. Okólnik ministeryum spraw wewnętrznych głosi: „Po porozumieniu się ministrów wojny i spraw wewnętrznych uznano za konieczne, aby we wszystkich wypadkach przyjęcia do wojska popisowych przez komisye rekruckie miejskie lub powiatowe, niejednomyślnie, albo wbrew opinii lekarzy, fakt ten był zaznaczany w liście poborowej, na której należy wypisać rezultaty z dopełnionych później powtórnie superrewizyj w urzędach rekruckich guber[illegible]

Koleje i komunikacye. Otwarto nową kolej z Charkowa do Bałaszowa.

— Ministeryum komunikacyi podało wniosek, aby w tych razach, kiedy kolej skutkiem zamieci, powodzi itd., nie może dowieźć pasażerów do miejsca przeznaczenia, zwracano im pieniądze za bilet, nadto — żeby bezpłatnie odwożono podróżnych do punktu wyjazdu. Przepis ten już zastosowano podczas ostatniego przerwania komunikacyi na kolei Zakaukazkiej.

Wystawy i zjazdy. W Marsylii otwartą będzie za kilka tygodni wystawa przedmiotów, mających związek z podróżami i hygieną.

— Postanowiono ze skarbu państwa przeznaczyć rs. 35,000 na koszt międzynarodowego kongresu lekarzy, który odbędzie się w Moskwie r. 1897.

Zmarli. Józef Kolarz, w Pradze: nestor dramatopisarzów czeskich.

— Antoni Golański, w Warszawie; dziennikarz [illegible]

— Cezary Biernacki, w Warszawie: pracownik na polu archeologiczno-historycznem.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. S. Politechnika w Warszawie nie istniała i nie istnieje.

S. O. Tak. Tom pierwszy już się drukuje.

M. H—h. Niepotrzebnie Pan szukał nieistniejącej książki, skoro w naszym artykule wyraźnie powiedziano: w grudniowym zeszycie *Biblioteki warszawskiej*.

Panu Czesławowi W. Wszystko to jest prawdą, każdemu znaną, ale z tej prawdy trzeba dopiero wydobyć poezyę, której w wierszu Pańskim nie ma, chociaż jest w nim pewien wdzięk — zgrabnego rymowania.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 26 Января 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.